



KUZNICA

Rok V

Łódź, 24 kwietnia 1949 r.

Nr 16 (189)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

PAWEŁ ELUARD

PRZEMÓWIENIE NIE WYGŁOSZONE W NOWYM YORKU

Jak wiadomo, Departament Stanu U.S.A. odmówił wiz wjazdowych delegatom francuskim na nowojorską „Konferencję Narodową w obronie badań kulturalnych i naukowych”; pani Cotton, księdzu Janowi Boulier i Paulowi Eluard. Poniżej zamieszczamy tekst przemówienia, które Eluard przygotował na otwarcie Konferencji, a które wygłosił dnia 2-go kwietnia w paryskim „Komitecie Narodowym Pisarzy”.

WITAM was, was, którzy chcecie pokoju, was, najlepszych spośród ludzi. Witam was, którzy w prostocie swego serca i w trzeźwej przytomności ducha nie możecie pojąć, aby można było siły zła, zbrodni i najplu-gawszej żądzy zysku przeciwstawić woli postępu, braterstwa, miłości, która jest przecież wolą większości ludzi prostych i jasnych, jak my.

Jestem szczęśliwy, że mogę was powitać tutaj, przyjaciele moi, przyjaciele wszystkich ludzi w tym wielkim kraju, który dla tylu ludzi czystych był krajem idealnym. Ameryka — to słowo miało jasne brzmienie. Nie chcemy, aby dzisiaj słowo to brzmiało naszym nadziejom jak pogrzebowy dzwon.

Słyszeliśmy i ciągle słyszemy prorocze słowa Walta Whitmana:

„Obwieszczam stworzenia natury, które wyrosną.

Obwieszczam triumf sprawiedliwości. Obwieszczam wolność i równość bez ograniczeń.

Obwieszczam usprawiedliwienie prostoty i usprawiedliwienie dumy”.

Świat dzisiejszy musi wybrać między jutrzeńką a zgrozą. Nie jesteśmy utopistami, ale wiemy, że ślepcy w końcu przejrzą. To zależy od tego, co im postawimy przed oczyma.

Zawsze zwalczyliśmy mrok, nawet w głębi mroku. Wiemy, że nie da się zrobić przeciw zażartej ufności, przeciw naszej wielokształtnej sile. W chaosie, wszędzie już oczy są szeroko otwarte, sięgają one bardzo daleko i widzą z bardzo bliska

Przybywam z Francji, a dla mnie słowo Francja świeci uniwersalnym blaskiem. Przybywam ze starego kraju, który jest ludzki, wrażliwy, rozumny i dobry. Ten kraj nie jest wam nieznanym, jest to kraj, gdzie uczciwi ludzie sądzili, że winni zawrzeć w sobie pokój, pokój z własnym sumieniem i pokój względem wszystkich ludzi. Jest to kraj, którego najwięksi ludzie, najlepsze umysły pognębiły w samych sobie pasję podsycającą wojnę, głupotę, namowę do śmierci. Jest to kraj buntu przeciw marniej pysze, kraj rewolucyj, który nie oddziela postępu moralnego od postępu materialnego.

Kraj stary — ale i Grecja jest starym krajem, któż jednak z was nie żywi się jeszcze jej logiką, jej światłem? A przecież Francja, jak i Grecja, jest dzisiaj wydana na pastwę myśli chwiejnej, ciemnej i lichej, która dąży do przeistoczenia wszelkiego złota w ołów, słońca i klarownej wody w noc i błoto.



Ks. Boulier, Mme Eugenie Cotton, Louis Aragon i Paul Eluard — delegaci francuscy na Kongres Nowojorski, którym władze amerykańskie odmówiły wiz wjazdowych do Stanów Zjednoczonych. U góry plakat Paryskiego Kongresu Obrony Pokoju z symbolicznym gołębim, malowanym przez Picassa.

Wracamy się do tego, co nas obchodzi, gdyż to co nas obchodzi — to szczęście człowieka, które jest naszym szczęściem. Nie chcemy, jak powiada Romain Rolland, „aby kilka tysięcy uprzywilejowanych wszelkiej kasty i rasy, możnych panów, dorobkiewiczów, junkrów, właścicieli hut, trust spekulantów, dostawców broni, autokratów pieniądza i wielkiego przemysłu — mogło gwoli podłym zamiarom igrać wszystkimi dobrymi i złymi instynktami ludzkości”.

Jeśli o mnie chodzi, jestem poetą jedynie dlatego, że solidaryzuję się z uciemiężonymi, jestem dłużnikiem ludzi żyjących trudem i nadzieją, ludzi, którzy wszystkiego doświadczyli i nie mają nic do stracenia prócz swych oków. Nie ogradzam się od świata, w którym żyję. Staram się do wiedzieć, kim jestem i, wiedząc to, kim są inni. Staram się poznać innych i, poznawszy ich, poznać samego siebie. Mój głos jest naprawdę wspólny z innymi. Prawda poetów jest jak prawda filozoficzna. Narzuca się siłą faktów, siłą życia, bez kompromisowej racji, racji żarliwej. Jest ona niesłabnącym śpiewem, płomieniem, który nie zagasa. Jest prawdą użyteczną, choćby to miało nie przypaść do gustu tym co gardzą życiem. Jest myślą praktyczną, służebną, przedmiotem naszej pierwszej potrzeby.

Groźby — twierdzą poeci — będą ciągle te same aż do dnia, kiedy naprawdę złączymy się z ludźmi. Poeci nie myślą o niczym innym, znają sekrety ludzi, znają tych, którzy tak łatwo przechodzą od „ja”

do „my”. Ich tragedia jest tragedią ogółu, ich wyobraźnię podnieca i organizuje świat, w którym żyją. Śpiewając swą własną historię śpiewają historię pierwszego spotkanego na ulicy, w jego domu, w jego rozmowie z samym sobą, mężczyzny, kobiety lub dziecka, czyniących gesty pospolite i gesty nagłe jak płomień, gesty nieznanne w naszych krajach schwytyanych w potrzask granic i władców. Buntują się przeciw własnej słabości, przeciw niesprawiedliwości i śmierci. Wyznają swe zasługi i błędy, swą wartość i dobre uczynki, swą niedolę, swe pragnienia i miłość prawdy, prawdy naprzemian nędznej i pełnej chwały. Ukazują siebie i ukazują innych takimi jakimi są — ze spokojną i wstrząsającą odwagą. Pokażcie mi prawdziwego poetę, który by skłamał, skłamał sercu innych i własnemu sercu, choć raz jeden! Dowiedźcie mi, że Homer, czy Dante, Szekspir czy Villon, Goethe czy Shelley, Puszkina czy Baudelaire, Whitman czy Rimbaud, Verlaine czy Lautréamont, czy Apollinaire, czy Majakowski, czy Lorca skłamałi choćby raz jeden. Nie chcieli być odgradzeni od samych siebie, nie chcieli być odgradzeni od innych przez to, co w innych nie chce zaniknąć. Chcieli przetrwać, choćby nawet ich rozterka miała służyć do uwydatniania kontrastów. Wiedzą oni, że nadzieja ludzka jest wielokolorowa. Tęcza weźmie górę. I nawet czerń, która nie jest kolorem, czerń rozpaczy wzbudzi w naszych synach śmiech czuły i słodki. Ufnosć nasza żyje. Pomyślcie, przyjaciele, iluż to ludzi, odkąd świat jest światem, umarło przeciw śmierci. Czuli

„Zbyt żywe są jeszcze w pamięci naradów okropności niedawno przeżytej wojny i zbyt wielkie są siły społeczne opowiadające się za pokojem, by snujące agresywne plany uczniowie Churchilla mogli je pokonać i skierować na drogę nowej wojny”.

Stalin

TREŚĆ NUMERU:

- PAUL ELUARD —
PRZEMÓWIENIE NIE WYGŁOSZONE W NOWYM YORKU
- BOLESŁAW DUDZIŃSKI —
W DNIU OTWARCIA
KONGRESU PARYSKIEGO
- WALENTYN KATAJEW —
W OBRONIE POKOJU
- VERCORS —
APEL
- LOUIS ARAGON —
SŁYSZĘ WAS GŁOSY ZABITYCH
- PAUL ELUARD —
- PABLO NERUDA —
MATKOM POLEGŁYCH
MILICJANTÓW
- PRZYSIĘGA
- WŁODZIMIERZ SOKORSKI —
SZTUKA NOWOCZESNA
ANTYTEZĄ ABSTRAKCYJNYM
- EWA FISZER —
A KIEDY IDE DROGA
ECHO MI TOWARZYSZY
- MIECZYŚLAWA BUCZKÓWNA —
SKRZYPCE
- JOANNA GUZE —
WYSTAWA POŚMIERTNA
FELICJANA KOWARSKIEGO
W MUZEUM NARODOWYM
- ST. RYSZARD DOBROWOLSKI —
W KAFEHAUZIE
- HANS MARCHWITZA —
GÓRNICY
- JANINA KULCZYCKA-SALONI —
NOWE WYDANIE
„GERMINALA” ZOLI
- E. TARLE —
LERMONTOW W ŚWIETLE
NOWYCH BADAŃ
- TRUDNA SZTUKA PISANIA
- ADAM WAŻYK —
Z TEATRÓW ŁÓDZKICH
- JANINA PRĘGER —
ŹRÓDŁA HUMORU
NA PÓLKACH KSIĘGARSKICH
PRZEGLĄD PRASY
NOTY

się podobni do swych wnuków, czuli się wtopieni w nieśmiertelne ciało. Szukali zdrowia w nieśmiertelności, przeżywali przyszłość w swych nabrzmiałych żyłach, jest tylko jedno ciało, jeden mózg, jeden proces stawania się, zmarli są żywi, a żywi trwają wiecznie.

Wiercie mi, moi amerykańscy przyjaciele, jeśli czerpałem radość z opiewania tego co czułem, to doznałem także wiele udręki. Nie jest tak łatwo być rzecznikiem. Muszę się otrzeć o was, muszę się połączyć z wami, nie możecie mi być nieprzyjaźni, gdyż jesteśmy tylko ludźmi. Wzywam was, wzywam samego siebie — czyżbyśmy mieli wojować ze sobą, czyżbyśmy mieli być wrogami? To śmiechu warte! Współuczestnicy naszego braterstwa stanowią naszą jedyną rodzinę. Tak samo jak oni, nie jesteśmy nieszkodliwymi marzycielami, mamy swoje środki działania, posiadamy się, która zwycięży, siłę przeciw fatalności wydarzeń.

Wojna? Przysięgam i żądam od was, abyście przysięgli wraz ze mną, że tylko to serce jest prawe, co bije w takt innych serc. Przysięgam, że sprawiedliwość jest z tego świata, bo jest przedmiotem jednomyślnych pragnień ludzi tej ziemi.

Lincoln powiedział: „Żaden człowiek nie ma prawa rozkazywania innemu człowiekowi bez jego zgody”. Oto jest klucz bliskiego szczęścia. Ludzie chcą sami stanowić o sobie, nie chcą być podporządkowani potęgą zła. Wszędzie już słuchają tylko własnego sumienia. Zło ustąpi niebawem wszędzie miejsca dobru.

Walczmy!

W A L K A O P O K Ó J

W e wszystkich krajach świata miliony ludzi walczą o pokój, występują przeciwko nowej wojnie, która chcą rozpetać amerykańscy imperialiści.

Dwudziestego czwartego lutego opublikowano Manifest Biura Międzynarodowego Zrzeszenia Działaczy Kultury i Międzynarodowej Demokratycznej Federacji Kobiet. Apel w sprawie zjednoczenia sił ludowych w celu obrony pokoju i propozycja, by na kwiecień 1949 roku zwołać Międzynarodowy Kongres Obrony Pokoju znalazły na całym świecie wielu zwolenników. Wiele międzynarodowych, narodowych, społecznych, zawodowych i kulturalnych organizacji, reprezentujących setki milionów ludzi, opowiedziało się gorąco za tą akcją.

Zwykle nawet wyliczenie tych organizacji daje pojęcie o szerokim odzewie społeczeństwa. A więc: na apel w sprawie kongresu pokoju odpowiedział Międzynarodowy Związek Studentów i jego oddziały w 54 krajach, Międzynarodowe Stowarzyszenie byłych Więźniów Politycznych, liczące 10 milionów członków, Światowa Federacja Młodzieży Demokratycznej i wiele innych związków demokratycznych.

Do apelu o zwołanie Światowego Kongresu w Obronie Pokoju przyłączyli się w Związku Radzieckim organizacje społeczne, zawodowe, i inne, przyłączyli się wybitni przedstawiciele nauki, literatury i sztuki.

A więc: Antyfaszystowskie Komitety kobiet radzieckich i radzieckiej młodzieży, Komitet Słowiański, Komitety Centralne Związków Zawodowych metalowców, górników, przemysłu włókienniczego, kolejarzy itp.

W Polsce odpowiedziały na apel następujące organizacje: Komisja Centralna Związków Zawodowych, reprezentująca 3,5 miliona ludzi pracy, Związek Młodzieży, Liga Kobiet, Polski Czerwony Krzyż, liczący 2,5 miliona członków, Związek b. Więźniów Politycznych, Towarzystwo Przyjaciół Żołnierza, Związek Inwalidów Wojennych, związki: literatów, nauczycieli i prawników. W Czechosłowacji: Centralna Rada Związków Zawodowych (powyżej 3 miliony członków), Centralna Rada Spółdzielcza (powyżej 4,5 miliona członków), Związek Pisarzy, Rada Kobiet, Związek Młodzieży Czeskiej i wiele innych. W Bułgarii — Centralna Rada Robotniczych Związków Zawodowych, Związek Zawodowy Rolników, Ludowy Związek Młodzieży, związki pracowników naukowych, pisarzy, dziennikarzy itp. W Rumunii: Generalna Konfederacja Pracy i wiele innych organizacji. We Francji udział w Kongresie biorą: Generalna Konfederacja Pracy, Związek Kobiet Francuskich, organizacja „walki o wolność i pokój”, Związek Młodzieży Republikańskiej, Związek Pracowników Umysłowych — zwolenników pokoju, Republikańskie Stowarzyszenie b. Żołnierzy Frontowych, Narodowe Stowarzyszenie Kolejarzy, b. Uczestników Wojny i wiele innych organizacji,

liczących setki tysięcy członków. We Włoszech przyłączyły się również wszystkie masowe organizacje demokratyczne: Ogólnowłoska Konfederacja Pracy, Związek Kobiet Włoskich, Sojusz Młodzieży, Liga demokratycznych zarządów miejskich, reprezentująca powyżej 3,000 miast, liczące komitety ziemskie, jednoczące 2 miliony chłopów i wiele innych. W Niemczech: Zrzeszenie Niezależnych Niemieckich Związków Zawodowych, Demokratyczny Związek Kobiet Niemieckich, Związek postępowej niemieckiej inteligencji „Kulturbund“ i zespoły pracownicze większych przedsiębiorstw. W USA z inicjatywą 500 postępowych przedstawicieli inteligencji amerykańskiej związki zawodowe pracowników sztuki, nauki i wolnych zawodów, zwołały na 25 marca kongres działaczy kultury i nauki w obronie pokoju. Na Światowym Kongresie w Obronie Pokoju reprezentowana jest również opinia postępowych warstw angielskiego społeczeństwa. Inne kraje, m. inn. Belgia, Holandia i Brazylia również zorganizowały zjazdy przedstawicieli kultury w obronie pokoju. Z Chin wyjechał na Kongres delegacja związków robotniczych, kobiecych, młodzieżowych, kulturalnych, religijnych i innych. W Korei przyłączyli się do Kongresu związki chłopskie, demokratyczne stowarzyszenia kobiet, pracownicy kultury i sztuki itp.

Charakterystyczne jest to, że akces do walki w obronie pokoju zgłosiły nie tylko organizacje robotnicze, postępowe, demokratyczne,

ale również stowarzyszenia religijne różnych wyznań i inne).

Na całym świecie przedstawiciele różnych warstw społecznych manifestują wolę walki w obronie pokoju. To jest właśnie platforma na której spotykają się ludzie mówiący różnymi językami, mający różne przekonania i reprezentujący różne klasy społeczne. Przeciwno wojnie wypowiadają się wszyscy: robotnicy, chłopi, postępową inteligencją, nawet duchowni różnych wyznań, których poglądy trudno nazwać lewicowymi.

Głos Związku Radzieckiego, ostrzegający przed awanturniczą polityką amerykańskich i angielskich monopolów dociera do wszystkich ludów świata. Świadczy o tym narastająca walka w obronie pokoju.

Mimo przeszkód politycznych i presji rządowych zwiększa się ilość zebrań sprawozdawczych z Kongresu Wrocławskiego, a prac Międzynarodowego Biura Łączności Intelektualistów.

Wystarczyło zaobserwować entuzjazm tysięcy ludzi, którzy odciskali w wielu w Paryżu delegatów Międzynarodowego Biura, wystarczyło przyjrzeć się młodzieży, która mimo ataków policji przedelflowała w samym sercu Paryża po Wielkich Bulwarach, żądając pokoju z Vietnamem, aby zrozumieć, że walka o pokój jest sprawą mas ludowych, że przybera ona wciąż na sile i nie zdoła jej złamać.

* Dane statyst. według „Nowoje Wremia“.

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

W DNIU OTWARCIA KONGRESU PARYSKIEGO

M IĘDZYNARODOWY Kongres Obrony Pokoju, który otwiera swe obrady w Paryżu, zrodził się z ducha Kongresu Wrocławskiego i będzie kontynuacją jego poczynań. Ale — pomimo tożsamości celów — istnieją pomiędzy tymi Kongresami pewne różnice. Zjazd wrocławski był zjazdem intelektualistów, naukowców, pisarzy, artystów. Reprezentowali oni niewątpliwie wolę i pragnienia milionowych rzesz całego świata, stanowili jednak, w sensie personalnym, zespół raczej ekskluzywny, nie mogący rościć pretensji do przedstawicielstwa mas pracujących, zorganizowanych w potężnych zrzeszeniach krajowych i międzynarodowych.

Kongres Paryski będzie miał pod tym względem odmienny charakter i inną wymowę. Wśród delegatów 600 milionów ludzi, którzy masowo a w drobnej tylko części indywidualnie, zgłosili akces do Kongresu znajdują się robotnicy obok uczonych, chłopów obok literatów, nauczycieli, obok artystów i muzyków, urzędnicy i funkcjonariusze publiczni obok działaczy politycznych i społecznych. Wśród wielotysięcznego tłumu delegatów będą ludzie różnych ras, narodowości, wyznań religijnych i koncepcji światopoglądowych, będą przedstawiciele organizacji kobiecych i młodzieżowych, robotniczych związków zawodowych i instytucji oświatowych, zrzeszeń pracującego chłopstwa i najrozmaitszych ośrodków działalności humanitarnej.

Ponad różnicami, dzielącymi indywidualnie poszczególnych delegatów czy też poszczególne ich grupy wznosi się jedna myśl i wola, jednocząca wszystkich w zastęp zwarty i zdecydowany. Jest to gotująca ponad wszystkim innym wola obrony pokoju i wolności człowieka, wola budowania takiego świata, w którym wolne narody będą mogły żyć i pracować bez lęku i niepewności jutra.

Olbrymnia mobilizacja sił pokoju i prawdziwego postępu, uczestniczących w Kongresie Paryskim, świadczy, że zdrowe ziarno antywojennego oporu, posiane na Zjeździe Wrocławskim nie padło na opokę, lecz znalazło we wszystkich krajach i zakątkach globu grunt podatny, wschodząc plonem bujnym i obfitym. Ta mobilizacja jest charakterystycznym symptom naszych czasów, dokumentującym, iż w najszerszym, bo wielomilionowym masach całego świata nastąpiło jeśli jeszcze nie przełamanie, to przelamywanie nastrojów bierności, apatii, wahań i wątpliwości w obliczu katastrofy, gotowanej człowieczeństwu rękami zbrodniczych podpalaczy i podlegaczy wojennych.

Nawet sygnatariusze paktu atlantyckiego wiedzą doskonale, że narody pragną pokoju — i stąd właśnie lisie chody, stąd słowa obłudne i fałszywe twórców tego spisku. Narody nie chcą, by powtórzyły się krwawe potworności minionej wojny. Narody nie chcą sprzedawać swojej wolności i godności za judaszowe dolary magnatów z Wall-Street i nie chcą być mięsem armatnim, zaścielającym bitewne pola ad maiorem gloriam amerykańskich imperialistów, i w imię ich super dywidend. Ruch oporu przeciwko przygotowaniom do nowej rzezi światowej wzma-

ga się i krzepnie, będąc groźnym ostrzeżeniem dla tych, którzy w cieniu agresywnych paktoów snują ludobójcze, atomowe plany.

Stara maksyma o tym, że „bogowie pozbawiają rozum kogo zgubić pragną“, znajduje pełne zastosowanie, jeśli chodzi o inspiratorów i autorów wszelkich „bloków zachodnich“. Zaiste, tracą oni resztki rozumu i nie mieści się po prostu w ich głowach, że w wyniku drugiej wojny światowej zaszły w świadomości ludów zasadnicze zmiany. Masy ludowe zaczynają się czuć panami swoich losów i swojego życia. Narody chcą pokoju, chcą istnienia, wypełnionego spokojną, twórczą pracą, a nie troską i obawą przed mordem, pożogą i zniszczeniem.

Związek Radziecki i związane z nim

wspólnością polityki pokojowej państwa demokratyczne wytrwale i konsekwentnie walczą przeciwko niebezpieczeństwu wojennemu, a do tej walki przyłączają się coraz gromadniej najlepsi ludzie całego świata, najbardziej aktywne i przodujące organizacje mas pracujących. Z wyjątkiem kliki podlegaczy wojennych i dolarowych aferzystów, przywykłych do wyściskania zysków z ludzkiej krwi i cierpień, cały świat staje w szeregach obrońców pokoju i z tą niezwykłą armią wiąże swe najlepsze nadzieje.

Celem Kongresu Paryskiego jest zjednoczenie i skoordynowanie wszechświatowego ruchu oporu przeciwko knowaniom wojennym, pod hasłem międzynarodowego braterstwa i przetnej współpracy. Celem Kongresu Paryskiego będzie też

ostateczne zdemaskowanie i napletnowanie imperialistycznych siewców niepokoju w taki sposób, by zostali oni wyraźnie odizolowani we własnych krajach i społeczeństwach, by odjęty im został choćby cień możliwości powoływania się na jakąś „wolę ludu“, możliwości przeinaczania i fałszowania tej woli. W starciu idei pokoju z planami ludobójstwa nie może być miejsca dla neutralnych, biernych, chwalebnych i wątpliwych. Celem Kongresu Paryskiego będzie rozproszenie ostatnich niejasności i nieporozumień, wskazanie drogi czynu wszystkim ludziom czystego serca i dobrych intencji.

Wierzymy, że do osiągnięcia tych wielkich celów, do wygrania walki, gdzie chodzi o przyszłość świata, Kongres przyczynił się w stopniu decydującym.

WALENTYN KATAJEW

W OBRONIE POKOJU

L UDZIE pracujący, wbrew nadziejom monopolistów amerykańskich, nie zapomnieli o tych strasznych latach, gdy Niemcy faszystowskie, odurzone łatwymi zwycięstwami w pierwszych miesiącach rozpetanej przez nich wojny, marzyły o panowaniu nad światem, o panowaniu, które zmieniłoby całą kulę ziemską w jeden olbrzymi obóz koncentracyjny.

Hitlerowi pomagali w jego posępnej robocie połączone wysiłki międzynarodowej reakcji — kapitaliści amerykańscy wspólnie z socjal-zdrajcami różnych barw. Amerykańscy potentaci finansowi inwestowali olbrzymie kapitały w wojenny przemysł niemiecki, a posłuszni im niewolnicy kapitału prowadzili wściekłą nagonkę na postępowe i demokratyczne siły Niemiec. Faszyzm niemiecki doprowadził do wojny.

Naród radziecki, w którym żyje piękna i nieśmiertelna idea braterstwa wszystkich ludzi pracy, całą mocą swej niezwykłej armii przeciwstawił się najzdo-

wi hitlerowskiemu. Za cenę ogromnych ofiar i bohaterkich wysiłków, zwyciężył wroga.

Naród radziecki i jego wspaniała armia ocalili ludzkość od bezprzykładnych cierpień i uchronili wielowiekowa cywilizację od niechybnej zguby. Wiele krajów i narodów odczuwa wdzięczność dla Związku Radzieckiego, gdyż dzięki niemu ocaliło życie i wolność.

Wydawałoby się, że po zakończeniu tej wojny powinien nastąpić długotrwały pokój. I prości ludzie we wszystkich krajach usilnie dążą do zapewnienia tego pokoju.

Tymczasem amerykańscy imperialiści marzą, podobnie jak Hitler, o tym, by zaojować świat i uczynić zeń swą kolonię. Kilkuset miliardów i milionów marzy o podboju wolnych krajów, tych samych krajów, które chciał podbić Hitler.

Wiedzą oni doskonale, że Związek Radziecki i kraje nowej demokracji są oparciem i nadzieją postępowej ludzkości,

oparciem i nadzieją pracujących we wszystkich krajach. Dlatego właśnie z taką wściekłością prowadzą „zimną wojnę“ przeciwko Związkowi Radzieckiemu, dlatego właśnie starają się otoczyć go pierścieniem przemyśleń wojskowych i siecią baz wojennych. Dlatego właśnie grożą bombą atomową. Dlatego właśnie rozpętali kampanie przeciw partiom komunistycznym we wszystkich krajach. W walce z liderami partii komunistycznych — tymi pełnymi poświęcenia, szlachetnymi i nieustraszonymi ludźmi, którzy prowadzą wielomilionowe masy robotnicze do trwałego i prawdziwego demokratycznego pokoju — nie cofają się przed żadnymi oszczerstwami.

Władcy monopolów szaleją, ponieważ wiedzą, że demokracja — to pokój. Ale oni nie chcą pokoju — oni chcą wojny.

Chcemy pokoju my, bo leży to w interesie olbrzymiej większości mieszkańców świata. Miliony prostych ludzi opowiadają się za pokojem — nie chcą wojny.

Jednakże nie chcą wojny to mało. Nie wolno do niej dopuścić! Człowiek przedstawiciele postępowej ludzkości w imieniu milionowych mas pracujących zdecydowanie i jasno wypowiadają się przeciwko nowej wojnie.

Głos Maurice'a Thore'a — przywódca komunistów francuskich — usłyszano na całym świecie, gdy oświadczył, że lud francuski nie zgodzi się nigdy walczyć przeciwko bratnim ludom Związku Radzieckiego. Poparł go szlachetny bojownik o szczęście ludzkości Togliatti, który w imieniu ludu włoskiego przyłączył się do oświadczenia Thore'a.

Wszystkie narody świata ogarnięte są przez potężny ruch pokojowy. W każdym kraju na wezwanie do walki o pokój odpowiadają tysiące, setki tysięcy, miliony patriotów, którzy nie chcą nowej wojny narzuconej ludzkości przez Wall-Street.

My, ludzie radzieccy, chcemy pokoju. Słowo pokój widniało na naszych sztandarach w 1917 roku, słowo pokój wypisane jest na naszych sztandarach i dziś, w 1949 roku.

Jeżeli większość ludzi na świecie, tak jak my stanie pod sztandarami, na których wypisane jest to piękne słowo i będzie tych sztandarów bronić, podlegać wojenni nie będą mogli urzeczywistnić swoich zbrodniczych planów.

APEL PISARZA FRANCUSKIEGO

W związku z akcją w obronie pokoju znany pisarz francuski Vercors ogłosił na łamach mies. „Lettres Françaises“ następujący apel:

Przeżywamy jeden z tych momentów historii, kiedy wszelkie stanowisko ideowe musi być określone precyzyjnie i bez dwuznaczności. Wiadomo bowiem, że rząd gotujący się do wojny jedno ma przede wszystkim na względzie: oskarżyć swą ofiarę o prowokację, która go do niej jakoby zmusiła. Widzimy w chwili obecnej, że rząd pewnego narodu, posiadający i bez ustanku fabrykujący najbardziej morderczą broń wszystkich czasów; zapewniający sobie w najrozmaitszych punktach globu ziemskiego bazy strategiczne; montujący koalicję wojskową, której cele, sprzeczne ze wszystkimi jego dotychczasowymi zobowiązaniami, wyznaje bez obstrukcji; wysyłający ku brzegom europejskim swą marynarkę wojenną i utrzymujący na naszej ziemi jeden ze swych sztabów generalnych — ten rząd oskarża inny naród, będący obiektem jego przygotowań wojennych, o podważanie pokoju, tych zaś, którzy, jak my dzisiaj, zespalają się dla ratowania za-

groźnego pokoju — o podleganie do wojny.

Otoż, mamy dzisiaj sposobność wykazania, kto działa w dobrej wierze. Proponuję aby każdy z nas tak sformułował zobowiązanie, jakie zaciąga wobec samego siebie:

„Przysięgam, że będę bronił pokoju i wolności mojego kraju przed wszelką napaścią, skądkolwiek przysza. Wiem, iż napastnik może udać, że on pierwszy był ofiarą i że musiał odparować cios, aie tego rodzaju wybiegi dawniej wprowadzały w błąd tylko tych, którzy tego chcieli — zachowuję tedy dość przytomności ducha, aby na przyszłość nie dać się oszukać. Jeżeli wojna, nieszczęściem, wybuchnie, potrafię w duchu i sumieniu rozpoznać napastnika. Przysięgam, że będę uważał tego napastnika za wroga całej ludzkości, że będę go więc uważał za mego osobistego wroga, że będę go zwalczał ile mi sił starczy i że całą pomocą będę służył tym, którzy będą go zwalczać!“

Oto przysięga, jaką proponuję każdemu z nas. Zobaczymy, kto się może obawiać skutków takiej przysięgi, a kto — zachępną w niej otuchę i radość.

LOUIS ARAGON

SŁYSZĘ WAS GŁOSY ZABITYCH

Słyszę was głosy zabitych Przychodźcie
 W godzinie w której licytują zemstę
 Przychodźcie dopominać się o swój dług Trwożcie się że zapomnę
 O waszym prawie do ziarna dojrzewającego do sierpnia pełnego chwały
 Trwożcie się że zapomnę o moich przyjaciół o cenie zapłaconej
 I o glebie zroszonej waszą krwią ofiarną
 I o odmowie która użyźniała tę ziemię zamętu
 O zwątpieniu omdlałym u waszych nóg o ciężarze waszego żelaza na
 niewiarygodnych brzdach
 O waszych ustach ze słońca na milczeniu nakazanym
 O przerwie strachu w krokach waszych słów
 Waszych ostatnich wyrazów ozdobionych powagą śmierci
 Boicie się że zapomnę doszczętnie o tym co mnie wiąże
 Z wami o tym co mnie wiąże z waszą przelaną krwią
 Boicie się szczęścia tych którzy przeżyją i ich głupoty
 Nieba złagodniałego bez przyczyny nad nieuprzątniętym domem
 I ludu zadowolonego z nowych posągów
 Gdyby i wasze posągi napróżno zastąpiły fałszywych bogów
 Słyszę was głosy zabitych

Wy w których wierzyłem
 Nie zapomniałem o tobie zginaczu żelaza
 Który umiałeś jednym słowem narzucić posłuch całej ulicy
 Ani tym bardziej o tobie zniesławiony który niosłeś przez życie
 Swe czyste oczy oczy zwrótnicze w chwili zbliżania się pociągu
 Ani o tobie rudowłosej filozofie
 Ani o tobie posiwiałej przedwczesnie dlatego że pogardzałeś odpoczynkiem
 Ani nie zapomniałem o tym który śpiewał jak labędź
 I był podobny do księcia ulepionego z gliny Fenicji
 Po dziś dzień od wieków starożytnych nie rozwiązano tajemnic jego finezji
 Czy potrafię kiedyś umrzeć tak jak wy lecz to wszystko
 Ma sens tylko dla was i dla mnie towarzysze mojej wojny dla mnie poległ w drodze
 (Fragment z poematu „Noc sierpniowa“)
 przełożył Mieczysław Jastrun

PAUL ELUARD

* * *

Nadmiar wiedzy, wiedza liryczna
 Żąda obnażania się
 Pokaż twe piersi i twą rozkosz
 Pokaż twe milczące oczy

Wróżko nieczuła
 Mówię i otwierają się drzwi

Pozwól mi więc sądzić o tym co pomaga mi żyć
 Moje pragnienie chłodu strawiło gorączkę
 Śnieg w słońcu urodziła mnie kobieta
 Jej enota jest niekiedy moja
 Zatoka jej łona rodzi ludzi wolnych

Życie znaczy dzielić się pospolu nienawidząc samotności
 Więzy śmierci zatrzymują mnie jeszcze
 Nie uścisnę naprawdę nikogo jak dawniej
 Chleb był oznaką szczęścia
 Dobry chleb, dodający ciepła naszym pocaunkom

Jedyny możliwy schron to cały świat
 Życie dzisiaj dla mnie to odpowiadać na zagadki
 I zaprzeczać boleści ślepej od urodzenia
 Wciąż daremnie gwiazda bez blasku
 Życie zagubić się aby odnaleźć ludzi

Niech bładość rzeki zatrze nurt strumienia
 Niech oczy cudowne widzą każdą rzecz na miejscu
 Nędza zmaszana i spojrzeń tańczę ładem
 Rosnący ład nasienia w kwiecie w drzewie
 Żywe rusztowanie podpierające wszechświat

Dziecko z człowieka na człowieka młodsze i radośniejsze
 (ze wstępu do tomu „Poèmes politiques“)
 przełożył Ryszard Matuszewski

PABLO NERUDA

MATKOM POLEGŁYCH MILICJANTÓW

Nie, nie umarli! Piętrzą się daleko
 wśród kurzu,
 płonące knoty trzaskających strzałów.
 A cienie ich zmieszają się z dymem
 na łące brunatnej jak miód,
 są sztorą wiatru, który jest pancernem,
 są chmurą ścianą rozbewstwionych sił,
 są wspólną z niebem spływającą pierśią.
 O matki moje! W polach rosna żyta,
 sterczą wysoko jak gorący dzień,
 co nad równinę w południe się wzniosł.
 Są czarnym dzwonem pogrzebowym,
 który jak olów w ciałach martwych ofiar
 zwycięstwo wita swoim rozdźwiękiem.
 O siostry moje zbite, zdeptane w proch,
 złamane serca,
 wierzcie umarłym, którychście poczęły!
 Wszak nie są tylko snem i korzeniami
 pod żwirami ziemi, którą skrapia krew:
 to nie, że kości próchnieją
 na wieki wieków kruszy ziemia,
 bo wciąż ustami gryzą proch wystrzałów
 i uderzają, zbrojne oceany,
 wzniesioną pięścią przerażając śmierć!
 I z tyłu martwych roztrząskanych ciał
 niewytopione wschodzi nowe życie,
 zastępy matek, chorągwi i dzieci,
 jedyne ciało, w którym krąży krew:
 twarz, która wzrokiem roztrząskanym czuwa
 nad ciemnościami rozlanymi z ran,
 której miecz pionie niezłomnymi snami.
 Porzućcie smutek,
 porzućcie, matki, swe żałobne suknie
 i lzy swe spójcie w rozżarzony metal,
 my tam we wrota w dzień i noc bijemy,
 my tam i w dzień i noc do bram bijemy,
 my tam plujemy gniewem w dzień i noc giniemy,
 aż padną bramy nienawistnej grozy.
 Nie chcę zapomnieć waszego nieszczęścia,
 jam synów waszych wspaniałych znał dobrze,
 a jeśliś dumny ze śmierci bohaterów
 to również dumny jestem z ich życia
 Uśmiechy ich
 mój wzrok oślnął w huczących warsztatach
 i w metro kroki ich mi rozbrzmiewały
 codziennie rano, kiedyś z nimi siedzi;
 w pomarańczowych gajach podziwiałem,
 przy morskich sieciach u południa wód,
 przy czarnej łoczni drukarskiej, a zwłaszcza
 w betonie murów, które wyrastały,
 widziałem wszędzie ich serca płonące,
 serca ogniste, bystre, energiczne.
 Tak jak i w waszym sercu, matki w moim
 gnieździ się również smutek i śmierć,
 śmierć, która buja jak odwieczny las
 przemokły krwią, dławiący śmiech,
 i wściekła mgła zgryzoły serce szczuje
 i dni w sierocinie, co je rozdzierają,
 I zamiast słuchać ryku hien,
 pomruku tych nienasyconych bestyi,
 Co z Afryki dochodzi parszywym skowytom,
 zamiast gorczy, płaczu i pogardy —
 wy, matki smutne przez śmierć i tęsknotę
 wpatrujcie się w dzień chwały, który wszędzie.
 Wiedzcie, że martwi pod ziemią się śmieją
 nad zbożem wnosząc pięści.

przełożył K. A. Jaworski

PRZYSIĘGA

Przysięgam teraz, ziemio spustoszona,
 kwiat nieśmiertelnych wód zrodzisz ze zgłiszczy,
 z twych ust spragnionych, przysięgam ci, znowu
 kwiatostan chlebowy wyrosnie, te kwiaty
 poczęte i rozlane.

Przekleństwo wszystkim,
 przekleństwo wszystkim tym, co z siekierami
 i z gadem przyszli na twój zagon piasku,
 przekleństwo tym, co dzień wybrali nieszczęśliwy,
 by drzwi domostwa otworzyć zdradziecko
 dla bandy lotrów i wrogię Maura.
 Co z tego macie? Przynieście tu lampę,
 patrzcie na ziemię, krwią przemokła cała,
 i czarne kości obgryzione ogniem,
 płomienną szatę poległych Hiszpanów.

przełożył K. A. Jaworski

POLSKA W OCZACH UCZESTNIKA KONGRESU WROCLAWSKIEGO



Rysownik amerykański O. Dropper zamieścił w nowojorskim miesięczniku „lewym” „Masses and Mainstream” cykl rysunków z Polski



Spółdzielnia wytwórczy obuwia we Wrocławiu



Warszawa



Wrocław

WŁODZIMIERZ SOKORSKI

Sztuka nowoczesna antytezą abstrakcjonizmu *)

N AJBARDZIEJ charakterystyczną cechą konferencji Nieborowskiej była dyskusja, w której zabierało głos 31 najwybitniejszych artystów na ogólną liczbę 36 uczestników. Niezależnie od kierunków artystycznych, które były na niej reprezentowane, stanowiła ona wyraz ogólnego przeświadczenia, że źródłem nowego kształtu sztuki polskiej jest nasza nowa rzeczywistość, która zmieniła nie tylko formy gospodarcze i ustrojowe naszego kraju, lecz zmienia również psychikę człowieka. Więcej nawet, wystąpienia wszystkich dyskutantów świadczyły o tym, że plastycy zdają sobie w pełni z tego sprawy, że proces kształtowania nowej sztuki musi być procesem świadomym, przemyślanym i w znacznym stopniu planowo organizowanym.

Rzecz prosta, że nowy kierunek artystyczny nie powstanie w wyniku najlepiej nawet przygotowanej dyskusji, że nie wyniknie mechanicznie z dnia na dzień, lecz będzie zjawiskiem określonego procesu historycznego, wielu twórczych prób oraz ich konfrontacji z życiem.

Wydaje mi się, że punktem wyjścia wszelkich poszukiwań artysty winno być zagadnienie nie tylko środków artystycznych będących w jego rozporządzeniu, lecz również problem ideowej treści własnej twórczości, to jest ustawienia jej w czasie i przestrzeni dokonywujących się obecnie wydarzeń. Związka, że nawet wybór tematu czy środków artystycznych nie rozwiązuje jeszcze istoty zagadnienia, jak również sam fakt czytelności obrazu czy rzeźby nie świadczy jeszcze o społecznej lub artystycznej wartości dzieła. Natomiast decydującą dla dzieła jest istota konfliktu, zwłaszcza konfliktu społecznego, wydobytą z danego tematu. Decydującym jest ideowe oblicze autora, wyrażone w sposób zrozumiały dla odbiorcy, w sposób sugerujący mu nie tylko określone przeżycia artystyczne, lecz i rozwiązanie jego własnego konfliktu ideowego. Tego rodzaju postawa ideowo-artystyczna stanowi dopiero ostateczną dla wszelkich twórczych, płodnych poszukiwań artystycznych.

To też trzeba sobie jasno i wyraźnie powiedzieć, że każdy dotychczasowy kierunek artystyczny, który powstał w warunkach schyłkowego imperializmu, którego cykl historyczny zamyka w naszych czasach abstrakcjonizm, przypada na epokę, w stosunku do której sztuka społeczeństw socjalistycznych jest nie tylko krokiem naprzód, lecz również społeczna i artystyczna antyteza.

Innym bowiem zagadnieniem jest wchłonięcie i przewartościowanie całego pozytywnego dorobku przeszłości, a innym przyjęcie, w porządku niejako chronologicznym, ostatniej formacji artystycznej jako ostatecznej, czy nawet punktu wyjścia dla sztuki naszej epoki. Tych dwóch zupełnie różnych problemów nie wolno nam w żadnym wypadku utożsamiać ze sobą.

Jest rzeczą zrozumiałą, że schyłkowa sztuka epoki imperializmu była rodzajem ucieczki od realistycznego widzenia świata. Walczył się w naszych oczach dotychczasowy schemat widzialności zjawisk obnażył nie tylko bezradność i bezsilność naturalistycznego zatrącenia się w szczególe, w zewnętrznych, przypadkowych cechach tematu, lecz musiał również zniszczyć wszelką próbę nowej syntezy w warunkach kapitalistycznych, wszelką próbę przejścia od szczegółu do całości, od spekulacji formalnych do ideowej całości dzieła. Rozpadające się formy bytu, materialności, pojęć estetycznych, przypadkowość i bezsens życia, a wreszcie cynizm i brodnia, gwałtu i okrucieństwa wojen imperialistycznej epoki, znalazł w sztuce, a więc również i w plastyce swój wyraz w postaci rozpadu dotychczasowych pojęć tematu, koloru, bryły, symetrii, znalazł swój wyraz w pogoni za chorobliwą deformacją widzianą przez artystę rzeczywistości.

W tej na swój sposób „tytanicznej” pracy rozszarpania dotychczasowych pojęć było oczywiście wiele z rewolucyjnego obraburstwa, pociągającego w warunkach kapitalizmu najbardziej postępowe i twórcze jednostki. Zwłaszcza, że początkowo przeciętny burżuj bronił się przed widmem katalizmu w sztuce na drodze bezsilnych prób nawrotu do szkół naturalistycznych. Zresztą już sam fakt protestu i negacji wszystkich, dotychczasowych, uświęconych form artystycznych świadczył w pewnych warunkach o twórczych poszukiwaniach, o ile nie przeradzał się

w maniérę, snobizm, fałszywe nowatorstwo bez pokrycia.

Rzecz charakterystyczna, że o ile między pierwszą i drugą wojną światową abstrakcjonizm wywoływał jeszcze w świecie kapitalistycznym protesty, o tyle po drugiej wojnie światowej, kiedy rozpad świata kapitalistycznego przyjął formy jaskrawe i odrażające, abstrakcjonizm stał się modą i sztandarem wojującego amerykańskiego imperializmu.

Dzisiaj nie tylko oficjalna sztuka w U.S.A. hołduje zwyrodnieniom abstrakcjonizmu, lecz nawet luksusowe lokale, domy schadzek i prywatne wille Brodwayu noszą na ścianach tragiczne znamiona abstrakcjonistycznego nonsensu, cynicznie chępiąc się monstrami obrazami, sugerującymi bywalcom tych domów bezsens świata, nicotę życia i okrucieństwo ich własnych metod walki.

W ten sposób symbolika protestu i zażądania dotychczasowych form w sztuce, z chwilą gdy nie zdobyła się na nową syntezę ideowo-artystyczną przerosła w kult bezsensu i rozpadu, w kult ekstrawagancji rozwiązań formalnych, w kult nowatorstwa dla nowatorstwa, w istocie zaś rzeczy symbolizując proces rozpadu moralnego, etycznego i ideowego schyłkowej epoki imperializmu.

W ten sposób cykl rozwojowy abstrakcjonizmu zamknął się z chwilą, gdy na widownię dzieł wyszła rewolucja klasy robotniczej, z chwilą gdy klasa robotnicza rozpoczęła wykonywać nową treść życia „nowej socjalistycznej epoki.”

Jest rzeczą zrozumiałą, że dla wielu twórczych, bezspornie wielkich i postępowych artystów ta konfrontacja bezsilności ich środków artystycznych w odwarzaniu potęgi, siły i dynamizmu nowej epoki musiała być w pierwszej chwili bolesna. Ich protest, ich niewątpliwie w swoim czasie twórcza negacja drobnomieszczańskiego naturalizmu okazała się nagle bezradną, bezpodną wobec nowej, głęboko realistycznej, jasnej, konstruktywnej wizji nowego świata i nowego człowieka. Więcej nawet. Ich warsztat artystyczny, przenoszony w nowe warunki, uderzył całą siłą swojej deformacji widzenia artystycznego w nowy nurt życia, w jego logikę, w jego pasję, w jego dynamikę, w jego gniew i w jego zwycięstwo. Z roli postępowej krytyki, w naszych warunkach abstrakcjonizm przetrząsnął się w reakcyjną negację, negację tym szkodliwszą, że przykrywającą się listkiem figowym pseudo „nowoczesności”, „nowoczesności” liczącej zresztą co najmniej pół wieku, to jest akurat tyle, ile schyłkowy okres imperializmu.

Ten bolesny skrót całej drogi rozwojowej w ostatnich kilku latach, latach wyraźnej, ostrej konfrontacji celów i metod dwóch światów, musiał być i był dla szerokiej rzeszy artystów silnym wstrząsem. Subiektywnie często wstrząsem bolesnym. Tym nie mniej jednak dla każdego wielkiego talentu jest to wstrząs twórczy, uświadamiający artystę w przekroju tych wydarzeń, których sam świadomie czy nieświadomie jest współtwórcą.

Na marginesie dyskusji o subiektywizmie i realizmie Lenin pisał:

„Według jakich objawów mamy sądzić o realnych „myślach i uczuciach” real-

nych ludzi? Rzecz jasna, że takim objawem mogą być tylko czyny tych ludzi. Badając rzeczywiste stosunki społeczne w ich rzeczywistym rozwoju, badamy właśnie rezultat działalności żywych ludzi”.

Oczywiście stawiając sobie założenie, że nasza sztuka winna być ideową i artystyczną antytezą abstrakcjonizmu i wszelkiego kosmopolitycznego formizmu, ani przez chwilę nie pomniejszamy wszystkich trudności komplikacji artystycznych, czyhajcych na nas w okresie twórczych poszukiwań naszej nowej realistycznej wizji. To też wyzwalając w polskiej plastyce własny, narodowy nurt realistyczny od Brodowskiego zaczynając, poprzez Gierzyńskiego a na Kowarskim kończąc, możemy tracić z oczu świadomości, że tak jak w historii człowieka, tak i w historii sztuki nie ma artystycznych nawrotów.

Nie ma ich po pierwsze dlatego, że treść ideowa dzieła wówczas i teraz jest inna, a w warunkach treści i formy — nowej tematyce musi odpowiadać nowy wyraz artystyczny.

Po drugie nie ma ich dlatego, że każde osiągnięcie człowieka, w dialektycznym procesie rozwoju, w sensie twórczym jest nie do powtórzenia w nowych warunkach na tym samym poziomie.

Po trzecie nie ma ich dlatego, że nasza epoka, epoka zwycięstwa człowieka, idei wolności i równości narodów, epoka olbrzymiej twórczej pasji wolnych ludzi będzie stanowił nowy doniosły krok naprzód w rozwoju sztuki wszystkich krajów.

Nawiązanie jednak w naszej świadomości artystycznej do rozwojowego nurtu realistycznego widzenia, jako zagadnienia własnej tradycji, własnej narodowej szkoły o nowej socjalistycznej treści, posiada zasadnicze znaczenie zarówno dla właściwego kształtowania naszej młodzieży artystycznej, jak i dla wyzwolenia się artystycznej wyobraźni spod nacisku i wpływu rozpadowej, kosmopolitycznej sztuki ginącego świata, która stała się dziś narzędziem w rękach imperializmu amerykańskiego niszczenia wszelkiej wartościowej własnej sztuki narodowej. Jest to zagadnienie wskazania młodym naszego rozwojowego kierunku artystycznego, do którego winniśmy nawiązać, jeżeli chcemy iść dalej i naprzód.

Ten niewątpliwie rewolucyjny akt nie może rzecz prosta oznaczać w plastyce spełniania do młodego, drobnomieszczańskiego naturalizmu. Naturalizm to wykwit wyobraźni artystycznej drobnomieszczaństwa, nad głową którego nie walały się jeszcze więzania dachu. Dynamika ówczesnej epoki trudna do uchwycenia dla przeciętnego człowieka była jeszcze mniej uchwytana w sztuce. Stąd tak charakterystyczne dla naturalizmu gubienie wizji całości na rzecz szczegółu. Naturalizm nie wydobyla konfliktu ideowego z danego zjawiska, a odtwarza je według naskórkowej percepcji fotograficznej wierności, bez przerobienia tematu zgodnie z wewnętrznym założeniem dzieła. Stąd rzecz prosta naturalizm jest czymś zupełnie sprzecznym z naszą epoką, z jej dynamizmem, walką, twórczą pasją, tragedią śmierci ludzi idących naprzód oraz

zwycięstwem nowego życia. Wszelka więc próba zamknięcia dynamizmu dni naszych w małosłownym naturalizmie, wszelkie zatrącenie się w szczególe bez wydobycia wewnętrznej sugestii dzieła, zmuszającego nie tylko podziwiać, lecz i myśleć, musi się w naszej epoce poalać. Nieporozumienie w praktyce polega często na tym, że nie odróżnia się realizmu od naturalizmu. Wierności z istotnym procesem życia odtwarzanego zjawiska, od wierności z drugorzędnymi szczegółami tegoż zjawiska.

I w tej płaszczyźnie między naturalizmem a abstrakcjonizmem następuje zatarcie wszelkiej niemal różnicy. Formalistyczne naśladownictwo poszczególnych ich elementów trybów maszyny stanowi typowy przykład stacjonaria się abstrakcjonizmu. Natomiast ta sama maszyna umiejscowiona we właściwych ramach społecznych, ożywiona wysiłkiem człowieka, jego pracą, jego myślą, może stanowić w prostej linii drogę do nowoczesnego realizmu. Twórcy abstrakcjonizmu i formizmu są dżilli, że aby dokonać rewolucji w sztuce wystarczy, gdy się poszczególne motywy naturalistycznego widzenia rozrzuca, zdeformuje, gdy zamieni się statyczny punkt obserwacji na widzenie poszczególnych elementów zjawiska w ruchu. Był to oczywiście błąd w założeniu. I nie na tym rzecz prosta polega jakakolwiek rewolucja. Dopiero stworzenie nowej, socjalistycznej syntezy życia, wydobycie z niej w sposób realistyczny nowej prawdy, przekazanie tej prawdy w sugestywnej formie społeczeństwu stanowi o prawdziwej rewolucji i od tego też musimy dzisiaj zacząć.

„Nie wystarczy — pisał Karol Marks w swoim „Przyczynku do krytyki filozofii prawa Hegla” — by myśl szukała realizacji, trzeba jeszcze, by rzeczywistość szukała myśli”.

Trzeba, żeby w twórczej wizji naszych artystów plastyków znalazła wyraz nasza nowa rzeczywistość, jej konflikty, jej tendencja rozwojowa, jej człowiek.

Wizytując szereg wyższych uczelni plastycznych w Polsce byłem niejednokrotnie zaskoczony w pracowniach studenckich brakiem wyobrażenia człowieka. Jego myśli, jego twarzy. Myślącei twarzy, lub jego czynnej postawy. Zastąpiły go plamy, kolory, wykresy, które pozwalają się domyślać człowieka, czy też jego roli w naszym zjawisku. Zmęczymy uparcie, aż do ostatecznego zniechęcenia od naturalistycznych szkiców martwej natury, czy też równie naturalistycznych szczegółów kobiecych aktów do abstrakcyjnych wykresów, mających imitować maszyny, ruch, pośpiech, niepokoje czy pasję. Natomiast nie spotykała prawie nigdzie świadomej analizy zjawiska i równie świadomego widzenia człowieka, abstrahując nawet od perspektywy tego widzenia. A przecież i twórcza pasja pracy i ruch maszyn, a nade wszystko sens tych maszyn jest uwarunkowany rozwojem dziejowym człowieka, jego działalnością, jego ideową postawą.

Widzieć człowieka w dziele jego, w nim samym — oto jest realizm.

Widzieć człowieka w twórczej pasji naszej epoki — oto jest realizm socjalistyczny.

I to jest zadanie, które dzisiaj polska sztuka winna sobie postawić przede wszystkim, szukając na drodze wielu doświadczeń i konfrontacji z wrażliwością odbiorcy właściwych rozwiązań artystycznych.

Ten trudny problem winniśmy rzecz prosta rozstrzygać w płaszczyźnie nie tylko teoretycznej dyskusji czy doświadczeń w zamkniętych pracowniach, lecz w płaszczyźnie wiązania artysty plastyka, a zwłaszcza szkół plastycznych z codziennym życiem, z codzienną prężą przemysłu, z naszym budownictwem, potrzebami świetlic i domów kultury, z naszą codzienną ideologiczną walką z klasowym wrogiem. Ukształtowanie nowego oblicza polskiej sztuki to jest program szeregu prac, konfrontacji własnych osiągnięć i własnych myśli z potrzebami życia. To zagadnienie przeniesienia abstrakcyjnych wykresów w dziedzinę fresku, desenu i równoczesnego odrodzenia rzeźby i stalugowego malarstwa na podstawie nowej socjalistycznej syntezy realistycznie widzianego życia.

Tak bowiem jak i człowiek jest zjawiskiem społecznym, tak i sztuka jest służbą społeczną, która zdaje codziennie, co godzinę egzamin przed opinią szerokiej mas ludowej, ponieważ dopiero sugestywność dzieła decyduje o jego wielkości, o jego nieśmiertelności.

EWA FISZER

A KIEDY IDĘ DROGĄ ECHO MI TOWARZYSZY...

A kiedy idę drogą śpiewa słup telegrafu,
A kiedy idę drogą jak kot mruczy strumyk,
A kiedy idę drogą każdy mnie rozumie,
A kiedy idę drogą echo mi towarzyszy,
I o co słyszą przyszłość podają mi ręce,
Ci, którzy pracę sieją i budują pracą,
I miękki mech pod stopy ściele się najmięcej,
I kto brukuje szosę brukuje ją przedziej
Słyszac rytm swojej pracy w śpiewanej piosence,
A w takt uderzeń młota szumaj brzozy liść.

MIECZYSLAWA BUCZKÓWNA

SKRZYPCE

Skrzypce niewierne,
Największa czułość strun nie dotknę.
Ocalała wyobraźnia dźwięku,
gniew pragnienia,
nie wydobędą już głosu

Ręce drewniane,
palcie drewniane,
głuche wnętrza drewnianej trumienki!
Porozkrecaj kotećki,
umierają struny
luźne, tak luźne,
że nie wiążą już ciszy w muzykę:

Złam smyczek
jak niepotrzebny miecz,

*) Na marginesie dyskusji w Nieborowie.

JOANNA GUZE

Wystawa pamiątkowa Felicjana Kowarskiego w Muzeum Narodowym



Felicjan Kowarski — Topole nadwiślańskie (1942 r.)



Felicjan Kowarski — Don Kichot (1944)

PIŚCZĄC o wystawie pamiątkowej Felicjana Kowarskiego trudno byłoby, żeby nie rzec niemożliwe, ograniczyć się do samego tylko sprawozdania, to znaczy skróconego i syntetycznego omówienia wystawionych dzieł, po partego kilku szerzej opracowanych przykładami. Takie sprawozdanie, jak sądzę, miałyby się z intencjami wystawy pragnącej dać obraz pracy, rozwoju artystycznego i osiągnięć tego szczególnego artysty. Dlatego artykuł będzie raczej impresją na marginesie wystawy, niż recenzją w ścisłym tego słowa znaczeniu.

Felicjan Kowarski jest zjawiskiem w historii współczesnej sztuki polskiej jedynym i odrębnym. Ten plastyk o zainteresowaniach tak wszechstronnych i zadziwiających w naszej epoce wąskich specjalizacji, zajmował się bez mała wszystkimi dziedzinami sztuki pięknej: malarstwem sztalugowym i rzeźbą, rysunkiem i architekturą, mozaiką i polichromią.

Zdawałoby się, że malarstwo sztalugowe stanowiące trzon dzieła Kowarskiego, malarstwo sztalugowe od którego zaczął i którego nie zdradził nigdy, nie zaspakajalo jego potrzeby wielkich form; toteż ilekroć nadarzyła się po temu okazja, przyjmował zamówienia na dekoracje ściennie, freski najczęściej, niekiedy mozaiki, gdzie wielka przestrzeń nieograniczona prostokątem ramy, stwarza warunki sprzyjające dla powstawania kompozycji najbardziej zgodnych z temperamentem i wyobraźnią twórczą tego artysty. Tendencja do monumentalizowania form towarzyszy również malarstwu sztalugowemu, staje się akcentem głównym jego dzieła.

Epoka nie była chętna zamierzeniom Kowarskiego. Malarstwo szukało rozwiązań w małych formach, — pejzażu, martwej naturze, portrecie, — nacisk kładąc na przedmioty i ich stosunek wzajemny, w znacznie mniejszej mierze na człowieka i jego sprawy. Kowarski był sam. Ze swoich podróży za granicę, do Paryża przede wszystkim, wracał nieodmieniony, bogatszy o nową wiedzę, lecz utwierdzony bardziej jeszcze w swoich przekonaniach i pewny, że jego dro-

ga nie wiedzie poprzez galerie i wystawy współczesnego malarstwa francuskiego.

Jego świat jest światem wielkich kształtów, heroicznym gestów, pomnikowych wymiarów. Niekiedy trafia się pejzaż kameralny, portret taki, do jakiego przyzwyczailo nas malarstwo współczesne, rzadko martwa natura. Lecz nie one decydują o znaczeniu Kowarskiego.

Ośrodkiem zainteresowań tego artysty jest człowiek. Poprzez niego widzi otaczający świat i jego sprawy. Lecz dwa zna sposoby ukazywania rzeczywistości: inny dla tej, którą akceptuje, którą uznaje za cenną, pozytywną, dodatnią, inny dla zdarzeń, które w człowieka godzą, które są mu wrogiem. Każdy z nich służy utrwaleniu dzieł ludzkich i przekazaniu ich historii. Pierwszą metodą można by nazwać klasycyzującą, drugą romantyczną. Oba określenia należy rozumieć w sensie bardziej umownym, niż historycznym.

Przykładami metody pierwszej są kompozycje figuralne, przede wszystkim „Proletariatcy” (1948), „Górnicy Pstrowski” (1948), „Rząd Narodowy 1863 roku” (1937). Artysta szuka tu formy zwartej, wielkich płaszczyzn koloru, wyraźnego konturu i modelunku, szlachetnego patosu. Pięciu „Proletariatczyków” siedzących obok siebie rzędem na ławie, — czarne monotonne postacie na czerwonym tle muru z cegły, — kompozycja godna mistrza z Ornańs; uroczyście Pstrowski w stroju górnika i w otoczeniu towarzyszy oddzielonych od siebie płaszczyznami chodaków — oba obrazy mówią wyraźnie o tym, ile artysta, który czuje i widzi wydobyc potrafi z najmniej, zdawałoby się, sprzyjającego malarskiemu ujęciu, bo graniczącego prawie z fotografią (to znaczy mechaniczną kopią rzeczywistości) tematu.

Metoda druga: spokojne formy i odmierzony rytm ustępują miejsca środkom ekspresji zgoła innym; artysta mówi o nieszczęściu i krzywdzie człowieka. Nawet przyroda, na wzór pejzażu romantyków, staje się przyrodą tragiczną. Bezlistne, samotne drzewo w pustej, jednolitej i szarej przestrzeni („Su-

che drzewo” 1930), powyginane, rozwichrzone „Topole nadwiślańskie” (1942). Pejzaż przedmioty nie istnieją same w sobie: żyją przez człowieka, widziane jego oczami, uczestniczące w jego losie. Cóż dopiero gdy Kowarskiemu przyjdzie pokazać człowieka zablakowanego w świetle, człowieka między niebem i ziemią! Oto „Wędrowcy” (1930) odpoczywający na piasku równiny mazowieckiej; „Uchodźcy” (1942) — mężczyzna z kijem w ręku, kobieta z dzieckiem w ramionach, pies, daleki krzak, pustkowia — dzieje ostatniej wojny; „Don Kichot” (1944) przypominający daumierowskie widmo, szkice z Ghetta.

W ostatnich latach swego życia Kowarski zaczął pracować nad cyklem, któremu dał nazwę będącą raz jeszcze potwierdzeniem jego zainteresowań; „Człowiek na przestrzeni

śmiała kolorystycznie, znakomita w kompozycji, gdzie motyw i dekoracja antyczna służą tylko jako zaczepienie dla żywej i dzięki nowemu ujęciu na nowo aktualnej sprawy ludzkiej.

Prócz projektów dekoracyjnych, o których już wspominaliśmy (Plafony wawelskie, plafon Brühlowski, polichromie dla kościołów, freski w Stołecznej Radzie Narodowej, mozaiki dla hali odjazdowej Dworca Głównego w Warszawie) Kowarski pozostawił sporą ilość rysunków, pomysłów i szkiców, niezmiernie ciekawych dla zapoznania się z indywidualnością tego artysty. Rysunki są najbardziej różnorodne: od aktów przypominających notatki Michała-Anioła, poprzez głowy i profile o rozmaitych rodzajach ekspresji, studia zwierząt, aż do lekkich kreskach rysowanych pejzaży, czy szkiców przygotowawczych do obrazów (znakomite studium do portretu Edgara Allana Poe). Jeśli dodamy tu projekty architektoniczne, projekty, wiązania budownictwa z malarstwem i rzeźbą, (idea droga Kowarskiemu przez całe życie) suma osiągnięć tego przedwcześnie zmarłego artysty wypadnie prawdziwie imponująco.

Na zakończenie wspomnień wypada o samej organizacji wystawy. Zaprojektowana przez Komitet Uczczenia Pamięci Prof. Felicjana Kowarskiego, powstała z inicjatywy Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, wystawa ta jest pod każdym względem wystawą wzorową. Komisarze wystawy (Leon Michałowski i Mieczysław Radomski) nie tylko zatroszczyli się o samą ekspozycję, (która jest bez zarzutu), ale i o katalog, zasługujący już raczej na nazwę monografii, tak bardzo jest wyczerpujący: studium o Kowarskim Juliusza Starzyńskiego — pierwsza próba syntetycznego ujęcia rozwoju, myśli twórczej i dzieła zmarłego artysty; wspomnienia o Kowarskim Jerzego Dutkiewicza; bibliografia wypowiedzi pisemnych Kowarskiego, artykułów i ważniejszych wzmianek o nim (która byłaby bezbłędna gdyby nie przeoczono jednego z ciekawszych artykułów — Michała Walickiego w „Nowinach Literackich”, grudzień, 1948); szczegółowy katalog wszystkich prac Kowarskiego i wreszcie reprodukcje dzieł wystawionych, a nawet zaginionych lub dziś już nielastniejących. Nie od rzeczy byłoby tak przygotowaną wystawę postać za granicę.



Felicjan Kowarski — Marat — brąz (1944)

ni dzieł” Kilka obrazów z tego cyklu — „Efeb”, „Elektra”, „Grajek” (wszystkie z 1947 roku) zapoznają nas z fragmentami dzieł, które mogłyby się stać najwyższym osiągnięciem Kowarskiego, pełną syntezą. Najciekawszym bodaj płótnem cyklu jest „Elektra”



Felicjan Kowarski — Elektra — z cyklu „Człowiek na przestrzeni dzieł” (1944)



Felicjan Kowarski — „Proletariatcy” (1948)

STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI

W K A F E

Fragment powieści



General Jakub Jasiński
(według litografii W. Sliwickiego)

W KAFEHAUZIE było aż ciemno od fajczanych dymów i unoszącego się nad stolikami oparu — jak pospolicie w gospodach. Niskie i do tego zabrudzone okienka jasności dziennej porcję przypuszczały tak skromną, że cma tu panowała okrutna. Na ławach pod ścianami, na zydełkach, grupkami u stołów, imci Dziarkowskiego gości zasiadała zgraja — nad butelczyną, nad kieliszkiem, nad kuflem, jak kogo było stać: grodzy patrycjusz, lyczkowie warszawscy pomniejsi, rzemieślnicy i zwykli hultaje, ptakowie niebiescy, co to nie sieją — nie orzą, a wśród tego i królewscy oficerowie, i bracia szlachta biedniejsi i ówdzie nawet jeden w duchownej sukience, w kacie.

W izbie dzwoniło jak w ulu. Właśnie jeden taki w kaporcie sukienym, czarnym, siodlarz jakiś z Elektoralnej czy też staromiejski szewczyzna, obracając się zuchwale do szeroko rozpartego nad kuflem szlachcica, bryzgnął mu w oczy jadłowicie:

— Tedy tu nie dla waści miejsce, sko-
roś motłochu wróg i Rzeczypospolitej od
utonienia ratowaniu przeciwny!...
— Francuskiego by na waćpana sposo-
bu zażyć... Cesarzowej ministra ruble wa-
ści pachną! — syknął z kąta wąsaty jęgo-
mość, odrywając usta od kubka.
— Sprzedawczyków socjusz!
— Slachcic, psia... Francuzów by na
was!

— Królewski jurgieltnik!
— Wycirus dworski!...
Zawrzało wkrąg — i już się do jęgo-
mości brali.

— A asan mi na króla szkarady tu nie...
asan mi jęzorem nie!... — bulgotał bene
natus, dźwigając się nad stołem, ciężki, z
nalanymi krwią oczyma — nie wygaduj!...
nie wygaduj!...

I bił pięściami w stół.
— Nie w królu rzecz! — warknął ktoś
z boku.

— A asan wiesz, co Franca? — indy-
czył się szlachcic, osaczony już zewsząd
kapotami. — To żywe wyobrażenie anar-
chii. Wszystkie związki zerwane, rząd oba-
lony, prawa bez powagi, zwierzchność bez
władzy, sąd bez mocy, cnotliwych obywa-
telów albo zamordowano, albo w ciemni-
cach jęcza...

— Tacy oni cnotliwi jak nie przymie-
rzając i nasz Branicki, czy Rzewuski, czy
Szczęsny! — zachichotał w kacie księżulo.
— A waćpan wiesz, co Rzeczypospolita
dzisiaj? — przyskoczył do szlachcica
oficer pułku Działyńskich, wpatrując się
weń, jakgdyby go prześwidrować chciał
tym wejrzeniem. — Waćpan wiesz?

— Władza i rząd w ręku wyuzdanego
pospółstwa... — próbował coś tam jeszcze
tamten, ale mu już do słowa dojść nie da-
wano.

— Ciszej, waszel!...
— Przepych największy jednych — pod-
jął oficer — granicy z najstraszniejszą
drugich nędzą. Lud na prowincjach głod-
ny, z kory sobie chleb wypieka... Oto wa-
sza Rzeczypospolita!

„Szalona, namiętna gra — ciągnął da-
lej — zajmuje dnie, wieczory, noce... Gra-
ją wszyscy: panowie, panie, słudzy, dzieci!

Poniński — odpowiedź waść, było tak?
— przegrywa miliony, Masalski swe do-
chody biskupie, inni aż do sumienia... Zby-
tek niesłychany, zdumiewający cudzoziem-
ców — ostrzygi wiozą kurjery beczkami,
wino płynie strumieniem!...

Słali magnaci bieliznę do prania do Pa-
ryża?...

Na pańskich dobrach rosą długi, fry-
mark ziemią wchodzi w obyczaj.

I co?

Nieprzyjacielskie korpusy w granicach...
Masz waść, co Rzeczypospolita! — utknął,
dech straciwszy z afektu.

— Tyrania i despotyzm pański! — huk-
nął jakiś głos od okna.

Ale adwersarz jakubinizmu wciąż jesz-
cze nie dawał za wygraną:

— Rewolucja francuska, która — zaczął
chyttrze z innego już tonu — z początku
miała tak chwalebny zamiar, jakim jest
uwolnienie dwudziestu czterech milionów
ludzi spod okrutnego jarzma, stała się na
koniec matką ohydnych i tysięcy zbrodni
i sprowadziła na kraj najokrut-
niejszą i najfatalniejszą, jaka tylko być
może tyranię, to jest — podniósł głos —
tyranię ostatniego, grubego, zapalczywego
ludu...

— Dutkujesz z nas, waszmość!...

Parsknęli dookoła wszyscy, najgłośniej
zaś rechotał z kąta ów duchowny i siedzą-
cy wraz z nim młody szlachetka-szaraczek.

— Ha! ha! ha!... Ha!... Ha! ha! ha!...

Ha!... — ryczał cały kafehauz, aż się od
tego pokładania ze śmiechu trzęsły
zdawna niemyte szyby i dzwoniły szklanki
na stołach.

— Kilku lajdakom zawiązaćby gębę,
którzy są apostołami Kołłątaja i jego sy-
stema powtarzają! — ledwie z siebie wy-
dobył jeszcze półgłosem zmordowany, zi-
rytowany pyskacz i osunął się całym ciels-
kiem na ławę, kapitulując smac tym razem
przed przewagą pogardzonego przezeń po-
spółstwa.

Gospoda wszelako wrzała dalej rozgło-
nymi dysputacjami — tam i sam coraz to

nowe wybuchy zwady i sprzeczki, co-
raz to nowe podnosiły się krzyki i na
przemian niosły się śmiech szeroki, gromki.

Teraz stanął u okna jeden z gości —
szlachcic, jak widać — suto po polsku w
granatowy kontusz odziany — z karmazy-
nowymi obslegami, szlify przy tym zło-
te, i w żupan takiej barwy karmazyno-
wej. Nobilis ów podniósł do oczu ówiar-
kę papieru jakowąś i, uciszając zgomadzo-
nych gestem ręki, gotowił się do czytania.

Na ten czas wrzawa jęła ucichać, tylko
jeszcze ten i ów zbędnym sykaniem za-
kładał ciszę.

Wreszcie całkiem wszystko umilkło. Słu-
chano.

— „O stałości do Exulantów Polskich
roku 1793“ — zaczął.

Szmer zaciekawienia przeleciał między
stołami — i już zaraz nie, prócz brzęczenia
much pod stropem.

„Stałości w dobrych przedsięwzięciach męża
Zapał źle chcących ziomków nie zwycięża:
Daremnie tyran na niego się sroży.
Zadna go burza nigdy nie zatrwoży.
Niech niebo wszystkie wyrzuci pociski,
Patrzy spokojnie na gromy, na błyski,
Niech się świat cały z zasad swych wylame,
On nieugięte nastawi mu ramie.“

W tej chwili drzwi otwary się z hala-
sem — i u progu stanął nowy gość, mło-
dzian lat niewiele ponad trzydzieści, w
szerokim, popielatym płaszczu podróżnym.

Szlachcic pod oknem raptownie urwał i
wszyscy mimowiednie zwrócili spojrzenia
ku nowoprzybytemu.

Jasiński, bo to on był właśnie, postąpił
jeszcze parę kroków naprzód, zatrzymał
się i z ciekawością jął się rozglądać po sali,
lustrując swoimi wielkimi, przenikliwymi
oczymi zebranych...

Konopka, ksiądz Majer, Dembowski —
poznawali dobrze sobie znajomych, którzy
już powstałi z miejsc, przyjaźnie go wita-
jąc. Czytającego u okna znał także — z
Wilna: Samuel Korsak.

HANS MARCHWITZA

G Ó R

Dzieje życia i talentu robotniczego
pisarza współczesnych Niemiec, Hansa
Marchwitzy, przypominają drogę współ-
czesnego pisarza polskiego, Lucjana
Rudnickiego.

Marchwitza, człowiek liczący dziś po-
wyżej pięćdziesiąt lat, mający za sobą
siedemnaście lat pracy w kopalniach,
urodził się i wychował na Górnym Ślą-
sku — i tu właśnie odbywa się akcja
jego powieści z dziejów proletariatu
pod rządami cesarza Wilhelma II.

W pierwszych dniach lipca rozpo-
czynają się pielgrzymki na od-
pust do sąsiednich Piekarów.

Matka pozszywała nam z kupio-
nych na rynku resztek nowe
ubrania: dla dziewcząt nowe sukienki z
perkalu, dla mnie sztuczkowe spodnie z
płócienną bluzą.

Zerwałem się wcześniej. Ojciec chciał
mnie zabrać z sobą do kościoła, ale zdo-
lałem się wymówić i ulotniłem się z ko-
legami.

W chmurach kurzu wszystkimi droga-
mi i ścieżkami nadchodziły z daleka i z
bliska procesje, niosąc nieskończone sze-
regi chorągwi, figur świętych i feretro-
nów. Tłumy napływały falami, modląc
się i śpiewając litanie. Kroczyli górnicy
w czarnych ubraniach galowych, połysku-
jąc skórzanymi wstawkami z tyłu na
spodniach i zdobnymi w pióra czakami.
Na ramionach nieśli świętą Barbarę.
Przestrojone w biel dziewczęta z wień-
cami i gałązkami lilii w rękach oraz bo-
se, stare kobiety szły obok najroz-
maitszych figur Matki Boskiej i świę-
tych patronów, a pod baldachimami kro-
czyli w przetykanych srebrem i złotem
szatach kapłani z monstrancjami.

Przez całe przedpołudnie biegaliśmy po
Piekarach. Kilometrami ciągnęły się kra-
my z nieskończonym mnóstwem pamią-
tek, obrazków, figurek z marcepanami,
piernikami i dymiącymi od kielbas kotłami.

W zgiełku rozbrzmiewały dzwony, po-
jękujące, astmatyczne katarynki i modły
tysięcy żebraków. Kiedy niekiedy poli-
cjant wyprowadzał jakiegoś oparszywia-
łego kalekę, który zebrał bez świadectwa
przemysłowego. Strumień pielgrzymów
falował tam i na powrót od Kalwarii do
Studzienki Matki Boskiej, przy której

roilo się i klebiło od patników i wszel-
kiego rodzaju chorych. I my piliśmy do-
bre dwadzieścia razy tę wodę, ponieważ
miała pomagać przeciwko wielu dolegli-
wościom. Ja piłem ją ze względu na czę-
ste bóle zębów, a Francek dlatego, że o-
biecywał sobie po tym przyrost sił. Póź-
niej przechadzaliśmy się po łąkach i ścierni-
skach, gdzie obozowały gromady bosych
ludzi, spoconych i zakurzonych. Wszyscy
nosili nanizane wokół szyi serca z pierni-
ka, całe tuziny pamiątkowych szkaplerzy,
krzyżyków i różańców. Jedni żuli z zado-
woleniem parówki, inni skromnie wysy-
sali kwaszone ogórki.

Złożone z pielgrzymów kapele grały
poważne i nabożne melodie, z dwu ko-
ściółów huczały dzwony. Wśród tego jakiś
żandarm — niekiedy był to nasz wysoki
i gruby Heiduck — znowu odprowadzał
jakiegoś żebraka. Nikomu to jednak nie
przeszkadzało, że żandarmeria wypełnia
obowiązki swej władzy, bo dość było jesz-
cze innych żebraków, którzy ani na chwile
nie przerywali ogłuszającego koncertu
swych modłów.

Jeśli miałem za mało własnych pienię-
dzy, przyłączałem się do rodziców, któ-
rzy wioząc Annę w pleconym wózku wy-
ruszali po południu z domu, ażeby rozdać
jednolitrowe jałmużny, wymamrotać
pacierze na Górze Kalwarii i zacerpnąć
zdrowotnej wody dla Anny na jej upor-
czywy strupień.

Z rodzicami chodziło się jednak zazwy-
czaj zbyt wolno. Ponadto ojciec skąpił
pieniędzy i przekonywał, że słodkie rze-
czy psują żołądek. Szukałem sobie tedy
sukiewki bardziej szczodrej. O ile na
przykład udało mi się przylapać w tłumie
kulejącą babkę Martoszoną, to po-
wracałem do domu niby tuczna kaczka,
napelniony słodkimi bułkami, kielbasą,
piernikami, limoniadą, miętowymi pastyl-
kami i lukrecją. Zrezygnowałem pochleb-
stwem potrafiłem zawsze utrzymać ją w dobrym
humorze i skłonić do rozsąpania węzła
z pieniędzmi na chusteczce do nosa.

Późnym wieczorem kucaliśmy całą na-
szą rotą na płotach i wśród gązi drzew
akacyjnych w ogrodzie Tivoli naprzeciw
naszej szkoły, przyglądając się rojowski-
byłym żołnierzom, którzy w takie dni let-
nie zbierali się na swe uroczystości. Na
scenie huczała orkiestra wojskowa lub
kopalniana, a nasze grube ryby podspie-
wywały przy dźwiękach potpourri: „Mar-
tha, Martha, du entschwandest, lässt den
armen Max zurück.“ Pan Taube, głów-
ny inżynier z „Nowej Heleny“, którego
w innych okolicznościach nazywało się
„nieodbrną swinią“, był w mundurze ka-
pitana i wygłaszał mowę na temat wiero-
ności wobec ojczyzny. Szalona fanfara i
trzykrotnie: „Niech żyje!“ rozbrzmiewały
na końcu. Kiedy się wszyscy podnieśli,
śledziliśmy, czy gdzieś nie pozostał bez
opieki kawałek kielbasy albo bułki i ci-
chaczem łowiliśmy te przysmaki. Naj-
sprytniejsi mieli ze sobą rodzaj wędek —
długi kij z gwoździem na końcu — i z
gałęzi nabijali po prostu na to swą zdo-
bycz.

Czasami spostrzegł te wyczyny któryś
z czujniejszych kelnerów i przepłaszał nas
przekleństwami i bykowcem, ale za chwile
sadowiliśmy się w innym miejscu na
płotach lub na drzewach, knując dalsze
zamysły. Po tych uroczystościach jeszcze
długo po północy wrzeszczeli, śpiewali i
tańczyli na ulicach pijacy. Ale o piątę
rano znowu nieublaganie szczykały bucz-
ki i nawoływały dzwony z kopalni.

Marcin nie wyżył się nigdy swego
wstrętu do szkoły, a raczej do Schmitta.
Sierżant policji Gross często przychodził
z grzywnami.

— Znowu — lamentowała Markowa,
oczekując każdorazowo ze strachem sza-
longo gniewu męża.

— Surowiej wychowujcie tego małego
zstępce! — warczał małowrotnie poli-
ciant.

— Jezusie, Jezusie — jęczała Markowa
— chłopak jest w innych rzeczach taki
posłuszny!

Gross wychodził z trzaskiem bez cienia
litości na tegiej, niekształtnej twarzy.

Markowa chowała nakazy przed męż-
em, ale gdy ten kiedykolwiek je odna-
laż, w małym domku znowu przez pół
godziny trzaskały razy rzemienia, trafia-
jąc również w matkę, która usiłowała
syna zastąpić.

— Okalecz tego niewydrzonego dra-
ba! — krzyczał Marek. — Ja w jego wie-
ku musiałem słuchać obcych ludzi, a on
ma dom i przyzwolonych rodziców...

Gdy się skończyło bicie, Marcin ucie-
kał nieraz gdzieś daleko, a stary Marek
poszukiwał go, znowu wrząc od gniewu.

— Gdzie on jest? — pytał nas. — Po-
wiedziezcie mu, że ma wrócić do domu, bo
inaczej przywiążę go za nogę do łózka!
My, chłopcy, ledwie wazyliśmy się
wtedy oddychać, tak dzięki i uporczywe
było spojrenie stale podchmielonego
mężczyzny.

Tego rodzaju sceny zepsuły mi nieje-
den wieczór. Jeszcze w nocy zdawało mi
się, że słyszę ochrypły ryk Marka i trza-
skające razy rzemienia.

Było tak, jak gdyby nasz Szarlej miał
dwojaką duszę: jedną duszę radośnie
halaśliwą, pobożną, rozmarzoną i snują-
cą tysiące opowieści — a drugą duszę za-
jadłą i wściekłą, wyjąca, pijaną i żądną
krwi. I tu również, w naszych murach
domowych, trwała na czatach pierwsza
i knowała druga.

Goście, spylone lato dobiegło końca.
Chodziłem teraz częściej na ulicę Pol-
ną, usiłując odkryć nowe źródła zarobku,
gdyż potrzebowałem pieniędzy.

Nadchodziła rocznica Sedanu i cesarz
miał przybyć tego roku do księżęcego
Świerkła. Ponieważ szkoły miały na
powitanie ustawić się szpalerem, Schmitt
polecił nam przyjść w czystych ubraniach
i o ile możliwości z flagami. Jedynie Mar-
cina Marka wykluczył z udziału w tym
święcie. — Ciebie, nieposłusznego włó-
czgi i nieponia, nie chcę widzieć w dniu

Grała muzyka, ale mnie głowa ciążyła coraz bardziej. Czasami doznawałem wrażenia, że chce oderwać się od szyi i upaść w tył.

Na koniec przyszła wiadomość, że cesarz nie będzie tędy przejeżdżał, wybrał bowiem inną drogę przez Radzionków. Utykając poszliśmy do domu. Gwoździe paliły mnie w nogach. Osiem dni leżałem

z potwornym bólem zębów i zapuchniętą twarzą. Z Franckiem sprawy stały jeszcze gorzej, dostał bowiem zapalenia płuc. Gdy wstał po chorobie, był jeszcze mniejszy i cieńszy.

Około Wszystkich Świętych zaczął pisać śnieg, a około Bożego Narodzenia leżały szare gnaty domów i wyjeżdżone ulice w kłębiastych zaspach śniegu. Po-

nieważ zazwyczaj brak było najniezbędniejszej odzieży, poprzestawo się na starym ojcowskim surducie i grubym szalu matki, a na nogi po prostu wkładano się akurat wolne, wielkie trepy, które i u nas stały w domu przy drzwiach, służąc do pewnych niezbędnych celów wyjściowych. Nie byłbym jedynym, który czapał do szkoły w tego rodzaju pantoflach fami-

lijnych. Próżność musiała usunąć się na dalszy plan, dość na tym, że dzięki trem nogi utrzymywały się w cieple. Cesarza, który nie przybył na rocznicę Sedanu, zapomniałem co prawda dość szybko, ale „gwoździe” w nogach i odmrożenia długo jeszcze dawały mi się we znaki.

(Dalszy ciąg w nast. numerze)
Hans Marchwiza
(Przeł. Adolf Sowiński)

JANINA KULCZYCKA · SALONI

Nowe wydanie „Germinala” Zoli



Emil Zola

W naszym powojennym dorobku wydawniczym w dziedzinie klasyków literatury obcej, dorobku bogatym ilościowo i jakościowo, Emil Zola zajmuje miejsce ostatnie.

Jego bogata i wszechstronna twórczość reprezentuje dla polskiego czytelnika jeden tylko utwór „Germinal” w przekładzie Mirandoli, nasuwającym niejedną wątpliwość. Tym niemniej wrażenie, jakie wywołuje się z lektury tej powieści, jest potężne i pobudza do zastanowienia się zarówno nad nią, jak też nad tym, dlaczego jest to jedyna pozycja Zoli.

Swojego czasu Zola odegrał w literaturze francuskiej rolę doniosłą: stworzył szkołę, której wpływ był co prawda krótkotrwały, ale za to krąg oddziaływania bardzo szeroki. Narobił swoją twórczością i swoją doktryną dużo hałasu w Europie i poza nią, wzbudził przeciwko sobie poczciwe i tępe mieszczaństwo, poruszył opinie stanowiskiem w sprawie Dreyfusa i jakoś uległ zapomnieniu. Jego powieści, które prześladowała oficjalna i nieoficjalna cenzura, stały się dla jednych objawieniem intelektualnej i artystycznej prawdy, dla innych niebezpiecznym produktem rozkładu i zapowiedzią zbliżającej się katastrofy kultury europejskiej.

W Polsce Zola miał ciekawą i bogatą karierę, był tłumaczony, jego ważniejsze powieści miały po kilka przekładów, zainteresowanie tłumaczy objęło nawet młodzieńcze opowiadania. Cieszył się ogromną poczytnością. Przedrukowywano, naturalnie tylko w pismach „postępowych” jak np. „Prawda” jego artykuły publicystyczne. Miał wielu świadomych i nieświadomych naśladowców.

Poprzedziła go sława gorszydziela, demoralizatora, przed którym należy bronić zdrowy moralnie naród. Publicyści konserwatywni pisząc o jego wpływie na opinię publiczną Francji, przestrzegali przed jego powieściami, która porównywali do rządzącej państwem kurtyzany.

Dlatego też wyraz naturalista, którego sam Zola używał w patetycznym komentarzu: „nous autres naturalistes, hommes de Science” (my naturaliści, ludzie nauki) w Polsce stał się synonimem niemal pornografii. Naturalista — to pisarz lubujący się w opisywaniu tzw. brudów życia. Pomimo że zarówno doktryna Zoli, jak jego artyzm znalazły w Polsce wielu zwolenników takich, jak np. Prus, Dymalski, Sygietyński, Zapolska, nasza krytyka literacka nie stworzyła jeszcze spokojnej naukowej oceny tego kierunku, stanowiącego już zamknięty rozdział historii literatury. Nie wyszła dotąd z kręgu inwektyw i obelg i nie zdobyła się na to ściszenie głosu, które obowiązuje wobec każdego nieboszczyka. Nawet teraz, gdy w Polsce pisze się o twórcy, pozostającym niewątpliwie w kręgu wpływów Zoli, zawsze unika się starannie jakiegokolwiek pomówienia go o naturalizm. Współczesne używanie tego terminu na określenie tradycji naturalistycznych tj. odziedziczonych po naturalizmie w literaturze współczesnej wytworza znowu niebezpieczeństwo nieporozumień. Stefan Żółkiewski^{*)}, co prawda zastrzegł się wyraźnie przeciw temu utożsamianiu, tym niemniej przeniesienie restrykcji i zastrzeżeń, które budzą współczesne „naturalistyczne” utwory literackie, może zaciążyć na stosunku do zjawisk odległych i podlegających już ocenie historycznej.

Kierunek „naturalistyczny” bowiem łatwo zauważyć we współczesnej prozie polskiej.

^{*)} Germinal, t. 2. Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza” Warszawa, 1947.

^{**)} „Aktualne zagadnienia powojennej prozy polskiej”, „Kuźnica”, 1949, nr 4.

Stanowi on najłatwiej chyba dostrzegalne dziedzictwo po literaturze lat międzywojennych i jest „naturalizmem” przekształcanym i zniekształcanym przez późniejsze tendencje literatury mieszczańskiej. Przejął on bowiem ze szkoły Zoli tylko pewne, powierzchownie pojmovane „chwytły” powieściopisarskie, zatracił natomiast skutkiem nalotów psychologizmu i impresjonizmu to wszystko, co stanowiło o wartości i znaczeniu naturalizmu jako kierunku historycznego literackiego.

„Naturaliści” nasi bowiem umieją szybko dostrzegać elementy rzeczywistości społecznej. Ale trudno właściwie stanowczo powiedzieć czy notują zaobserwowane fakty, czy starają się odtwarzać własne tych faktów doznania. Świat dla nich więc jest chaosem zjawisk różnorodnych i pozbawionych związków, chaosem, którego nawet nie próbują rozumieć. Nie dają oni żadnej konstrukcji ani intelektualnej ani artystycznej. Oni kopiuja tylko przypadkowo dostrzeżone fragmenty, utamki życia.

Świadomość więc niebezpieczeństw, jakimi grozi „naturalizm” współczesnej prozie polskiej, nie powinna bynajmniej przesądzać naszego stosunku do naturalizmu w znaczeniu historycznym, reprezentowanego przede wszystkim przez Zolę i jego szkołę.

Dlatego też omówienie „Germinalu” zaczne od krótkiej, syntetycznej charakterystyki owego „naturalizmu” w znaczeniu historycznym.

Dla uproszczenia dalszego toku powiedzmy sobie po prostu, że naturalizm w znaczeniu historycznym jako żywa postać czytelnicza — to Zola. Liczne kolo jego uczniów i wielbicieli albo zdradziło doktrynę mistrza albo uległo zupełnemu zapomnieniu. Tylko potężny talent Zoli, który wycisnął piętno na kulturze literackiej epoki, potrafił także przełamać ciasne ramy stworzonej przez niego doktryny i uniknąć niebezpieczeństw, którymi groziła.

Twórczość Zoli jest najciekawszym i najbardziej charakterystycznym przykładem tego zafascynowania się nauką, jakie cechuje literaturę drugiej połowy w. XIX. Naturalnie chodzi o tę naukę, która z jednej strony wywodziła się z podstawy techniki i cywilizacji przemysłowej, z drugiej zaś tworzyła bazę pojęciową materializmu mechanistycznego i deterministycznego, będącego światopoglądem francuskiego mieszczaństwa.

Te tendencje zjawiały się wcześniej, ale Zola nadał im charakter programowy i bojowy. Powieść zaczęła pretendować do tego, by tworzyć prawdę o życiu, by dawać tak samo, jak nauka, obiektywne, bezwzględnie obowiązujące poznanie rzeczywistości. Stąd wywodził się tak charakterystyczny dla naturalizmu postulat bezosobowości sztuki, stąd przekonanie, że praca powieściopisarska jest identyczna lub co najmniej bardzo podobna do pracy uczonego, operuje bowiem tym samym materiałem i tymi samymi metodami.

Dlatego też zaobserwujemy teraz ściśle kontakt pisarzy z uczonymi, czego najlepszym wyrazem, jest fakt, że fizjologowie Claude Bernard^owi zawiądzają Zolę intelektualny szkielet swoich utworów. Szukają więc naturaliści powieści „materiałów”, proponują nawet niekiedy zastąpienie wyrazu „roman” wyrazem „étude” (studium).

Ta postawa pociąga jednak poważne skutki ideologiczne — ocena przedstawionego w utworze świata uznana zostaje za element obcy, subiektywny, pozbawiający powieść jej naukowego znaczenia. W przedmowie do swego cyklu „Rougon-Macquart” Zola pisze: „Ja nie próbuję ocenić ustroju politycznego, ja nie chcę bronić żadnej polityki ani religii. Obraz, który rysuję jest prostym wynikiem rzeczywistości takiej, jaka ona jest”. Wypowiedź ta rzuca światło na niebezpieczeństwo artystyczne naturalizmu: pracownik opisuje szczegóły zewnętrznych, fotograficznie odtwarzanie rzeczywistości, brak wszelkiej podstawy do selekcji zebranego materiału, zagubienie w rzeczach nieistotnych i niemożność stworzenia historycznie wiernego obrazu rzeczywistości. Spójrzmy teraz, jak zrealizowane zostały te ogólne założenia i tendencje w „Germinalu”, który obok „L'Assomoir” uznany jest przez krytykę francuską za arcydzieło Zoli.

Tytuł zawiądzająca powieść pierwszemu wystąpieniu proletariatu francuskiego przeciwko mieszczańskiej konwencji, które znowu wzięło swą nazwę od pierwszego miesiąca wiosny (odbyło się dn. 1 kwietnia 1795 r.), zwanego w kalendarzu Rewolucji „miesiącem paków” czyli „Germinalem”. Napisana była w r. 1865, akcja jej przebiega około roku 1860, bezpośrednich danych w tekście nie ma, ale da się wyproprowadzić z buchalteryjnych obliczeń Gregoira^a.

Bohaterem powieści jest Stefan Lantier, maszynista, który stracił pracę na skutek sprzeczki z przełożonym, a znalazł przypadkowo zajęcie w kopalni Voreux. Stefan jest robotnikiem „świadomym” swęj przynależności klasowej i interesów swojej klasy,

utrzymuje kontakty z przywódcami ruchu robotniczego, jest czytany i wyrobiony. Znalazł się wśród górników, którzy od pokoleń służyli kapitalistom dalekiej kompanii akcyjnej i których zawód przykuwał bardziej do miejsca pracy, niż np. Stefana, czyniąc z nich niewolników dyrekcji.

Inteligencja, wyrobienie oraz poczucie własnej wartości i niezależności predestynują Stefana na przywódcę górników, w środowisku których wchodzi w momencie specjalnie dla niego ciężkim — ogólny kryzys przemysłowy zmusza zarząd kopalni do daleko idących oszczędności, które przeprowadza się przede wszystkim przez zmniejszenie stawek górniczych. Stefan już wie, że jedyną bronią tych wyzyskiwanych niedarzy jest strajk. Ale oni mają za sobą gorzkie doświadczenia, że łatwiej zarządkowi kopalni ponieść straty skutkiem niewykonania zamówienia niż zadłużonym na wszystkie strony biedakom obejść się bez jednego tygodniowego zarobku. Agitacja Stefana napotyka na nieufność i ostróżność.

Ale Stefan „był nowicjuszem, zapalonym neofitą. Idzie tu przeciw do obrzydliwych związków robotników całego świata, o młodą a słynną już Międzynarodówkę niedawno założoną w Londynie. To nie głupstwo to początek walki, którą uwięziły zwycięstwo sprawiedliwości. Upadła szranki dzielące proletariaty różnych narodowości. Stan robotniczy całego świata powstanie i zażąda chleba, na który zarabia swą ciężką pracą” (t. I, str. 136).

Przeprowadza on krytykę Wielkiej Rewolucji, pod której urlokiem pozostają jeszcze górnicy — wskazuje, że nie poprawiła ona losu robotnika, wzmocniła tylko burżuazję, która pasie się jego krzywdą.

Słowa Stefana padają na podatny grunt coraz większej nędzy i poczucia strasznego, bezprzykładnej krzywdy. Wpływ Stefana rośnie z dnia na dzień, zaczyna on próbować rozkoszy władzy, nie widząc jeszcze jej niebezpieczeństw.

Wreszcie za jego radą i wpływem wysłano do dyrekcji delegację, której warunki odrzucono. Górnicy ogłosili strajk. Rozpoczęły się straszne dni, kiedy to dotychczasowa nędza kolonii górniczej przekształcała się w jakąś fanatyczną ascezę.

Kobiety, które przestrzegały przed strajkami, stały się namiętnymi jego zwolenniczkami, inne cierpiały głód i patrzyły spokojnie na cierpienie swych dzieci, odgrajając się straszliwą zemstą lamistrajkom.

Narada zebrana w lesie, by rozstrzygnąć, czy strajkować dalej, czy przerwać strajk, skończyła się jakimś żywiołowym pędem zgłodniałych tłumów do opuszczonych kopalni, które były równocześnie miejscem ich udreki i dziełem ich rąk.

Zdemolowano urządzenia, zalano kopalnię, dokonano napadu na dom dyrektora, zgłodniałe tłumy biegły ulicami miasteczka wołając: „śmierć mieszcuchom”.

Reprezje spotęgowały tylko opór — górnicy cierpią nienależną nędzę, ale nie chcą słyszeć o przerwaniu strajku. Ale mimo to zaczyna się budzić podświadoma nienawiść do Stefana jako sprawcy nieszczęścia. I oto dawne bożyszcze tłumy staje się teraz przedmiotem nienawiści, zakosztowawszy szczęścia ogólnego uwielbienia, musi teraz znieść ciężar powszechnej pogardy.

Tymczasem doszło do zająć między wojakami a górnikami, padły ofiary, kompania uznała, że należy zatuszować strajk, zjechał delegacji, ogłoszono przebaczenie dla zgłaszających się do pracy — pokorni i pokonani, zdziśniętawiani nędzą i represjami górnicy zaczęli pracować. Jeden z nich tylko trwał w opozycji i wyrażał swą pogardę ludziom, którzy cofnęli się przed użyciem środków ostatecznych. Był to tajemniczy Rosjanin Souvarine, który stracił wszystko, co kochał, w swej dalekiej ojczyźnie i żył obecnie tylko myślą o walce z wrogiem. On to zatópił kopalnię, gdy zjechał do niej górnicy.

Ocalony po wielu dniach męki, Stefan długo chorował — wróciwszy zastał najoporniejszych nawet przy pracy — kapitał okazał się silniejszy, pokonał górników, kazał im zapłacić za szkody uczynione kompanii zmniejszonymi zarobkami. Obudziła się jednak czujność mieszcuchów, którzy nagłe poczuli się zagrożeni w swoich najistotniejszych interesach. Ale poruszony został nowy żywioł, robotnicy policzyli się, poznał swoją siłę i wydał głośny okrzyk, wołając o sprawiedliwość. Stefan, którego nie przyjęto do pracy, odchodzi. Idąc, słyszy pod swoimi stopami ciężkie miarowe uderzenia „tam w czeluściach ziemi męczennicy pozbawieni słońca wykuli jej losy, z męki ciała rozdzieliły się duchy mścicieli, tam rosła armia zrozpaczonych, tam kielkował posiew, który o wiosnę, porwany nieprzepartą siłą bujania, wyrzuci się na słońce poprzez szczytliny splekanej w kawałki ziemi. (t. I, str. 189).

Oto w dużym skrócie akcja powieści: złoży w niej naturalnie Zola hold swoim mniej ciekawym dla nas upodobaniom: więc obdarzy Stefana ciężkim dziedzictwem po przed-

kach alkoholikach, więc wiele czasu i uwagi poświęci sprawom życia seksualnego swych bohaterów. Ale jego wyostrowana, drapieżna obserwacja, która każe mu widzieć i notować wszystko, wiernie a bez wyboru, odda mu w tym wypadku wielką przysługę, każe mu szczegółowo opisać: kopalnię, mieszkanie górnika, jego odzież, sprzęty a właściwie ich brak, jego głodowy obiad, jego nędzną przyjemność, wszystkie szczegóły jego codziennego a jakże okrutnego życia. Tu wszystko jest ważne: i sukna starej Mahendy^a która jej nie grzeje i kolejne zajmowanie łóżek których nie starcza dla wszystkich i zupa z trawy. Wszystko to bowiem składa się na jakiś potworny obraz, którego każdy szczegół mówi sam za siebie, przeraża swoją nagością.

Ten obraz nabiera jeszcze większej wymowy, bo z tym samym obiektywnym spokojem uczonemu pokazuje Zola bezmyślny dosyć dyrektora oraz akcjonariusza, który nie robi, zbiera tylko procent od swego kapitału a pracy robotników. Jeśli Zola w ogóle chciał wystrzegać się oceny, to w Germinalu jej się nie wyrzekł, bo samo takie skonstruowanie mieszkania robotnika i mieszkania akcjonariusza było już oceną i krytyką ustroju, której podjąć nie chciał. W powieści swej pokazał Zola robotnika jako rodzącą się potężną siłę dziejącą, pokazał, że mieszczańskie Drugie Cesarstwo poczuło się zagrożone w swym bezpieczeństwie i stanie posiadania.

Ale pokazał ruch proletariatu jedynie jako odruch ciemniejszego instynktu: Cecylka Gregoire zamordowana przez ogłupiałego z głodu i nędzy dziadka Bonnemort jest niezmiernie charakterystycznym przykładem tego potraktowania.

Głodzeni od lat, zdegenerowani przez nędzę, pozbawieni podstawowych biologicznych praw, górnicy porwali się do bunty opętani krwiożerczym instynktem zemsty i zniszczenia.

Ruch robotniczy w ujęciu Zoli jest tylko ślepy instynkt głodzonego zwierzęcia, ruchowy temu brak świadomości, brak myślenia. Jego przywódca u Zoli to bezkrytyczny nowicjusz Stefan, dla którego niekiedy sprawa — zlewa się z osobistą karierą, sceptyki i pogodwicy, Rasener, szarlatan ruchu międzynarodowego, Pluchart i ponury terrorysta Souvarine.

Zola zasymulował zbudzenie się ruchu robotniczego, zapowiedział, że wstrząśnie on podstawami Drugiego Cesarstwa, ale zgodnie ze swymi założeniami nie pytał, dokąd on prowadzi i pytania tego nie kazał postawić swoim bohaterom.

Pokazał ciężkie konflikty środowiska kapitalistycznego, mitologizując je w postaci istot potwornych, żyjących niezależnym od człowieka życiem. Dyrektor kopalni i jej akcjonariusze są tak samo jak górnicy zaleźni od żywiołowych kryzysów, wstrząsających kapitalistycznym ustrojem gospodarczym, tak samo wpleceni są w tryby jakiegos ogromnego mechanizmu, którym nie są w stanie kierować. Panuje moloch kapitalistycznego ustroju, którego niewolnikiem jest dyr. Hennebeau, ofiara padł Denullin, właściciel malej kopalni, na próżno walczący z kompanią, ofiara padają górnicy; wywołuje to w Zoli poczucie tragicznej beznadziei. Akcja jego powieści posuwa się od jednego paroksyzmu do drugiego, nie rozwija się, lecz wybuchu wybuchami rozpoczyna, okrutnie nienawidzi. Daży tak do katastrofy w odczuciu czytelnika tym straszniejszej, że zafascynowany postulatem obiektywizmu Zola nie pozwolił sobie na sympatyzowanie z bohaterami. Ale mimo wszystko, co wyżej o „Germinalu” powiedziałam, można do niego zastosować słowa, które Zola napisał w przedmowie do swego kapitalnego dzieła „L'Assomoir” — „c'est une oeuvre de vérité, le premier roman sur le peuple qui ne mente pas et qui ait l'odeur du peuple” (jest to dzieło prawdy, pierwsza powieść o ludzi, która nie kłamie i która pachnie ludem).

TRĘŚĆ NR. 15:

Julian Hochfeld — Oświata i kultura w narodowym planie gospodarczym; Aleksander Jackiewicz — Trzecia książka Dygata; Adam Ważyk — Polska strofa Oniegina; Mieczysław Jastrun — Poemat dla Boga; Lucjan z Samosaty — Eros i Dzeus; Jan Szeląg — O karykaturze; Jarosław Iwaszkiewicz — Gospodarstwo; Stanisław Wygodzki, Leszek Lorek — Wiersze; I. Frid — Ze studiów nad formalizmem; Juliusz Saloni — Wokół legendy mickiewiczowskiej; Witold Jędrliński — Doskonały wykład marksizmu; Adam Ważyk — Z teatrów łódzkich; Leon Bukowiecki — Milczenie świętego Piotra; Paweł Hertz — Historia pana K. W. Zawadzkiego; Przegląd prasy; Noty.

E. TARLE

Przełożyła ZOFIA ŁAPICKA

LERMONTOW W ŚWIETLE NOWYCH BADAŃ



Michał Lermontow

ZYJACY współcześnie z Puszkimem, P. J. Jakowlew, zanotował w swym dzienniku doskonałe jego powiedzenie: „Poeci — to nadliczbowi mieszkańcy świata”. W carskiej Rosji dość szybko (bo zaledwie w ciągu lat czterech) zlikwidowano bez zbyteknie trud i niemiłych komplikacji dwóch „nadliczbowych” poetów: najpierw Puszkina, potem Lermontowa.

Faktem dawno już ustalonym i nie podlegającym wątpliwości dla historii literatury rosyjskiej i rosyjskiego społeczeństwa jest to, że Puszkini padli ofiarą planowo przygotowanej i przeprowadzonej akcji, która musiała zakończyć się jego śmiercią.

Dawno już też przestało być tajemnicą, że car i arystokracja dworska, która zaszczyła Puszkina, pozbyła się w pochmurny dzień lutowy 1837 r. niespokojnego i, może niebezpiecznego w przyszłości, przeciwnika i że wystrzał D'Anthès'a został przez petersburski świat możnych przyjęty z aplauzem.

Inaczej rzecz się miała ze sprawą śmierci Lermontowa. Widome ślady, prowadzące od chęci i nastrojów do aktywnych działań, od zamierzeń do realizacji, były o wiele mniej widoczne, mniej dochowało się zeznań świadków, nie ma również bezpośrednich dokumentów, ujawniających zbrodnicze zamierzenia, w rodzaju listów anonimowych.

Wiedzieli wszyscy jak Mikołaj I nie cierpi Lermontowa, opowiadali o złośliwym rozporządzeniu cara, by nie przedstawiano go do nagród, krążyły pogłoski, że córka cara, Maria, nienawidzi poety i każe nawet nadwornym lizosom, w rodzaju hrabiego Sologuba, pisać na puszkwie. Wiedzieli, że dwór cieszył się ze śmierci Lermontowa i przypisywano uparcie Wielkiemu Książkowi Michałowi następujący okrzyk na wieść o śmierci zesłanego poety: „Psu — psia śmierć!”

Jednakże cieszyć się z rezultatów przestępstwa, to jeszcze nie znaczy — popelniać je. By unaoźnić z góry uplanowaną zglębę Lermontowa, należy sięgnąć do bardziej konkretnych dowodów.

Drugi lermontowski tom „Literaturnego nadsiedstwa” zawiera nowe, obszernie materiały, które pomagają rozwiązać zagadkę śmierci Lermontowa. Samo podejście do zagadnienia katastrofy nabiera nowego, specjalnego zabarwienia. Okazuje się, że zostało zrobione wszystko, co było konieczne dla szybszej zglęby „nadliczbowego mieszkańca”, i to nie tylko przez rząd carski, lecz także przez królewskie lizosom, w rodzaju hrabiego Sologuba, pisząc na puszkwie. Wiedzieli, że dwór cieszył się ze śmierci Lermontowa i przypisywano uparcie Wielkiemu Książkowi Michałowi następujący okrzyk na wieść o śmierci zesłanego poety: „Psu — psia śmierć!”

Jednakże cieszyć się z rezultatów przestępstwa, to jeszcze nie znaczy — popelniać je. By unaoźnić z góry uplanowaną zglębę Lermontowa, należy sięgnąć do bardziej konkretnych dowodów.

Drugi lermontowski tom „Literaturnego nadsiedstwa” zawiera nowe, obszernie materiały, które pomagają rozwiązać zagadkę śmierci Lermontowa. Samo podejście do zagadnienia katastrofy nabiera nowego, specjalnego zabarwienia. Okazuje się, że zostało zrobione wszystko, co było konieczne dla szybszej zglęby „nadliczbowego mieszkańca”, i to nie tylko przez rząd carski, lecz także przez królewskie lizosom, w rodzaju hrabiego Sologuba, pisząc na puszkwie. Wiedzieli, że dwór cieszył się ze śmierci Lermontowa i przypisywano uparcie Wielkiemu Książkowi Michałowi następujący okrzyk na wieść o śmierci zesłanego poety: „Psu — psia śmierć!”

Jednakże cieszyć się z rezultatów przestępstwa, to jeszcze nie znaczy — popelniać je. By unaoźnić z góry uplanowaną zglębę Lermontowa, należy sięgnąć do bardziej konkretnych dowodów.

przypadkowo zestawil Lermontow te dwa nazwiska.

Posel de Barant znalazł dobrze nazwisko Lermontowa na dlugo przedtem, nim syn jego Ernest tak niezrecznie chybil w pojedynku. Znalezieli sie uczynni ludzie z tego samego srodowiska dworskiej arystokracji, ktore zorganizowalo zabojstwo Puszkina, ludzie, ktorzy doniesli poslowi, ze Lermontow w wierszach swych na smierc poety, obraza jakoby Francuzow i Francje, i posel informowal sie juz przez pierwszego sekretarza poselstwa francuskiego, „czy prawda jest, ze Lermontow w owej zwrotce uraga Francuzom w ogolnosc, czy tylko zabojcy Puszkina?” Wspolczesni rozumie jasno bezposredni zwiazek pomiedzy niezadowolaniem, ktore wyrazalo poselstwo francuskie z powodu wierszy na smierc Puszkina, a powrotnym zeslaniem Lermontowa. Sprawa byla jednak jeszcze bardziej skomplikowana.

Po miescie krążyły pogłoski zarówno o pojedynku, jak i o tym, że Lermontow nie krepuje się zupełnie w wygłazaniu swych opinii o młodym de Barancie. Podczas pobytu w więzieniu, Lermontow, w rozmowie z Bielińskim, nazwał Baranta „salonowym Chłostakowem”. Nie drzemali wówczas jednak „kaci Wolności, Geniuszu i Sławy”, których sfera otaczała tron.

Znów energicznie wnieśli się do sprawy szanowana intrygantka dworska, żona kanclerza Imperium rosyjskiego, hrabina Nesselrode, której ręce splamione były ciepłą jeszcze krwią Puszkina: „Od wczoraj trwoszę się o Baranta, którego Kocham, syn jego miesiąc temu pojedynkował się z oficerem huzarów... Pan nasz powiedział miżowemu memu, że oficer oddany będzie pod sąd!”

Wkrótce młody Barant wyjechał do Paryża. Nie mniej rodzina jego przeżywała niepokój: przecież Lermontow, gdy dowiedział się, że przeciwnik jego wyjeżdża, obiecał mu, że jeśli tylko będzie mógł, przeduży pojedynkę aż za granicę! Posel Barant chciał również, by syn wrócił do Petersburga. Już z tego choćby powodu należało czym prędzej wysłać Lermontowa gdzieś daleko, na przykład na najmniejbezpieczniejszą, przednią linię najgroźniejszego ze skrzydeł armii kaukaskiej, — innymi słowy, na ostatnią stację przed podróżą, z której się nigdy nie wraca.

Dookoła tej sprawy zabiegali energiczni małżonkowie Barant, ich wierny przyjaciel hrabina Nesselrode, kanclerz Nesselrode i

Benkendorff, który nie nadał żadnego biegu listowi Lermontowa, w którym poeta prosto-wał podłe kłamstwo „salonowego Chłostakowa”, Ernesta de Baranta. Posel de Barant triumfował z powodu zsyłki Lermontowa do Tengiskiego pułku. Posel wiedział co to oznacza, lecz pełen obłudy pisał o tym „wspomniał” rezultacie swych starań: „Ernest może wrócić. Lermontow miał wczoraj wyjechać... Pragnąłbym dla niego większej pobłażliwości, Kaukaz martwi mnie, ale takiemu człowiekowi nie można ufać”. Ta obłuda posła, który wiedział o tym, że właśnie wskutek jego, Baranta, próśb, skarg i meldunków wysyła człowieka prawie na pewną śmierć, jego „współczucie” dla ciężkiej kary budzi szczególny wstręt.

Od początku już było jasne, że Mikołaj wykorzystania chętnie sprzyjającą okazję, by Lermontowa wysłać w miejsce najmniejbezpieczniejsze. Przy pomocy Benkendorffa, sądu wojennego i ministra wojny Czernyszewa, w oparciu o gorące współczucie małżonków Nesselrode, serdeczną wdzięczność małżonków de Barant, Mikołaj prędko naprawił nieprzyjemne pudło marnego strzelca Ernesta de Barant. To nie to, co zreczny D'Anthès! Nie napróżno car z taką wielką radością spotkał się z nim w Berlinie w 1850 roku.

Rosja carska, która zabiła Puszkina, rozprawiła się również z jego bezpośrednim spadkobiercą. Szczegóły tej zbrodni ujawniają się coraz wyraźniej dzięki wysiłkom uczonych radzieckich, którzy wymazują liczne „białe plamy”, od których jeszcze niedawno roiła się biografia Lermontowa.

Z pracą E. Gersztejn łączy się artykuł I. Boriczewskiego pt. „Walka Puszkina i Lermontowa z arystokracją dworską”. Autor, powołując się na mnóstwo nowych materiałów (szczególnie na nieopublikowany dziennik A. I. Turgieniewa), daje obraz ostrej walki politycznej, ofiarą której padli Puszkini i Lermontow. Największą uwagę poświęca I. Boriczewski „Mojemu rodowodowi” Puszkina i wierszom Lermontowa, napisanym na śmierć poety. Stwierdza, że w zwrotkach „Mojego rodowodu”

Ani w peruce austriackiej
Zwiąż z wojska pudrowany fryc!
(Przeład Juliana Tuwima)

Puszkini miał na myśli kanclerza grafa Nesselrode, zrecznego awanturnika, który służył niegdyś w austriackiej armii, a później dobrze się urządził w mikołajewskim Petersburgu. Nici gnuśnych intryg, które opłatały Puszkina wychodziły z salonu Nesselrode. Nienawidzono tu poety, i Lermontow wiedział o tym. Tę właśnie dworską arystokrację i jej głównego przedstawiciela barona Nesselrode miał na myśli pisząc:

„A wy, o dumni z ojców swych nazwiska,
Synowie możnych, znanych z podłosei i zła,
Wy, co stopą słuźalcza deptacie zwalska
Rodów, które skrzywdziła ślepa losu gra,
Wy, stojący przed tronem zgraja
niewolnicza,
Wolność, Geniusz i Sława nie wstrzymały was
Kaci...
td.
(Przeład Wiesława Karczewskiego)

O nich też myślał Puszkini, gdy przeciwstawił nowej arystokracji stare rody:

Ja zaś, zgrzybiałych rodów prawnik
(Nie jestem w tym nieszczęściu sam),
Szczętek bojarów starodawnych,
Drobnomieszczańską rangę mam.
(Przeład Juliana Tuwima)

Widać więc, że Lermontow świadomie opierał się w wierszach swoich na „Moim rodowodzie”, jakby kontynuując jego myśl i pogłębiając jego motywy.

Wymownym jest to, że charakteryzując D'Anthès'a, Lermontow użył takiego porównania: „na kształt setki zbiegów”. Znowu mamy przed oczyma żołnierza — zbiega z „Mego rodowodu”. Lermontow utożsamia tu naturalnie zabójcę Puszkina z cudzoziemcami typu Nesselrode, którzy przywędrowali do Rosji na połów szczęścia i zaszczytów, a w głębi ducha nienawidził nowej swojej ojczyzny.

I nie dziw — z cudzoziemskiej strony
Tak jak tyście innych, zbieg
Z wyroków losu na nasz brzeg
Na łów zaszczytów wyrzucony,
Zuchwale lekceważył, drwiąc,
Obcy mu język, obce sprawy,
Nie mógł oszczędzać naszej sławy,
td.
(Przeład Wiesława Karczewskiego)

Nie jest przypadkiem, że właśnie Nesselrode patronował tak silnie francuskiemu legitymizmowi D'Anthèsowi, później zaś ze wszech miar popierał de Baranta. Nie jest również winą Baranta, że nie jemu, lecz Martynowowi udało się zabić poeę.

Nie będzie przesadą, jeśli powiemy, że żaden myślicy czytelnik nie może przejść obojętnie obok tych nowych lermontowskich materiałów. Wzbogacają one naukę o Lermontowie w nowe dane, pomagają w obaleniu wielu fałszywych legend o wielkim poecie, które stworzyła stara, burżuazyjna nauka o literaturze. Taką na przykład jest legenda o mniemanej samotności Lermontowa, o jego tragicznej skrytości. Teraz dopiero naprawdę poznajemy ludzi, z którymi stykał się poeta w różnych okresach swego życia: było to środowisko produkującej inteligencji rosyjskiej lat trzydziestych.

ALEKSANDR JACKIEWICZ

TRUDNA SZTUKA PISANIA

PONOWNE wydanie przedwojennych książek Adolfa Rudnickiego — „Lata”, „Żołnierzy”, „Niekochanej” — pozwala ocenić dystans, jaki pisarz przeszedł w swej twórczości: na przestrzeni ostatnich lat.

„Nie rozumiem w moich książkach ani ludzi, ani stylu, ani zagadnień. W moich książkach? Cała generacja pisała w ten sposób. Literatura niepodległościowa i październikowa 1939 obudziła się starsza o sto lat” — pisze Rudnicki o tamtych utworach, rekonstruując swój do nich stosunek z czasu wojny.

Minione dwadzieścioletcie ludzko wielu twórców pozornym brakiem dramatyczności, pisarce szukał tematów o „dziwności”, wykonypowanej, separował je w stosunku do dnia powszedniego, który im się wydawał płaski i monotony. Letniowski Kazimierz nad Wisłą i Górze Kalwarie przynosi Rudnicki w krainie egzotyki „Lata”, w „Żołnierzach” wydziela nieludzka machinę wojskową z ogólnego rytmu życia, dramat wewnętrzny Noemi i Kamila z „Niekochanej” rozgrywa na wąskim odcinku uczuć, snów i halucynacji.

„Cała generacja pisała w ten sposób”. Ciężka była epoka, w której rzeźwy wielkich nie umiano nazwać po imieniu.

W „Szekspiarze” Adolfa Rudnickiego, wydawnym w roku ubiegłym, czytamy: „Mówiłem sobie: nigdy więcej tych spotęgowanych głupstw, jak dotąd. Sztuka? Tak, ale współbrzmienia z wielką historią. Coś co pochłonęło miliony istnień, wypunktować inaczej niż zieloną flaszke, gitarę i dwa jabłka na zielonym obrusie. Sztuka płynąca na wielkiej fali, nie bliski na wodzie. Po roku pokoju widziałem oto, iż sztuka stała się akurat taka, jaka była od tysiąca lat: samowolna, dzika, kapryśna, kładąca akcenty tam gdzie jej się podoba, na drobniaczku, na gupstwach, pisząca sobie swoją historię. I widziałem już, że nie ma właściwie na to rady. Stygła pamięć o okropnościach, świat znów domagał się piękna”.

Te wypowiedzi pomogą nam w dalszym ciągu felietonu odcyfrować zawile drogi, jakimi posuwa się pióro pisarza.

A więc z początku historia. Ona to już po wrześniu 1939 r. kazala Rudnickiemu rzucić nowe spojrzenie na miniony czas, który zrodził jego przedwojenne książki, i wydobyć stamtąd dramaty o wymiarach klasycznych. Mam na myśli „Konia”. O ile silniejsza artystycznie, o ile bardziej ludzka jest ta nowela od poprzednich utworów. Budzenie się poczucia krzywdy społecznej w synu prowincjonalnego krawca, nierówna walka, której się on podjął nie tylko dla siebie, ewolucja, jaką przechodził ojciec bohatera, idący obok syna — to jest założenie zupełnie nowe w dziele Rudnickiego, to jest niejako oddanie sprawiedliwości samym czasem, które ów-

czesna literatura traktowała w dużej mierze jako źródło do kolekcjonowania psychologicznych czy estetycznych bibelotów. Pozycja „Konia” Rudnickiego może służyć się dla przelotnego historyka literatury z „Matką” Gorkiego, nie będzie to porównanie niesłuszne, zwłaszcza jeśli chodzi o społeczną genezę obydwu utworów.

Autor „Szekspiara” tworzy teraz inaczej niż dawniej, losy jednostki wtapia w los ogółu, rozszerza horyzonty swych dzieł. Realistyczne spojrzenie na rzeczywistość, które wciąż przedziera kanwę jego przedwojennych utworów, teraz panuje niepodzielnie. Pisarz odtwarza życie w jego wielowarstwowości, nie unika bardzo osobistych dygresji. Chciałoby się powiedzieć nie tylko, że pisze o sobie i o swoim czasie, lecz, że pisze siebie i swój czas. „Wielki Stefan Konecki”, „Ginący Daniel”, „Czysty nurt” — to są pozycje, które, gdyby Rudnicki już nie więcej nie napisał, zostaną w naszej literaturze jako stałe nowy.

I oto obok tych obrazów, które zawarły tyle prawdy o świecie, autor pozwala sobie na wątplenie w poznawcze możliwości sztuki. Tak w każdym razie należy chyba rozumieć jego, cytowaną uprzednio, wypowiedź na temat samowolności i kapryśności sztuki w stosunku do historii. Jeszcze wątplenie to w „Szekspiarze” pozostaje w granicach teorii praktyki bowiem tam zaprzecza słowom pisarza. Ale z końcem ubiegłego roku pojawia się w druku nowela pt. „Seedone wino życia”, w której Rudnicki zataił problem ideowy, dopuścił do głosu „dziwności”, zrodzone z tradycji modernizmu.

Jesteśmy świadkami konfliktu, jaki rozgrywa się w postawie pisarza. Pragnienie ukazania spraw ludzkich w zwierciadle historii walczą z estetycznymi dogmatami panującymi w międzywojennym dwadzieścioletciu. Należy sądzić, że konflikt ten jest chwilowy, świadczy on o skomplikowanym, głębokim przełomie, jakiego przechodzą nasi twórcy na granicy historycznych i literackich okresów. Ze Rudnicki wyjdzie z niego zwycięsko, nie należy chyba wątpić, gdy się zwłaszcza konfrontuje nie teoretyczne opory i błędy, ale prawdziwe powojenne osiągnięcia pisarza z jego twórczością sprzed 1939 r.

Wracamy więc do wtyczki dystansu, od jakiego zaczęliśmy niniejszy felieton. Pragnę tego dokonać na przykładzie „Niekochanej” i „Czystego nurtu”.

„Niekochana” została wydana w r. 1937. Karol Irzykowski porównał wówczas tę „pęśń miłości” do najlepszych dzieł literatury, zaznaczając z satysfakcją, że wbrew panującym wówczas zwyczajom, z książki Ru-

dnickiego został wyeliminowany wszechwładny erotyzm.

Tak, lecz zastąpił go bardzo wyjątkowo psychologiczny obraz miłosnego obłędu, obraz mówiący wyraźnie o związkach z ujęciem tych spraw w literaturze okresu Młodej Polski.

Jesteśmy w polu magnetycznym pary kochanków, przy czym strona Noemi promieniuje silnym uczuciem, zaś strona Kamila bardzo nierównym, trochę lotociowym przywiązaniem do młodej kobiety i pragnieniem ostatecznego wyrwania się z zakłętego kręgu. Historyczna miłość Noemi przesunęła przez pisarza w wymiary patologii, wizji i snów — wywodzi się z atmosfery, jaką wprowadził do naszej literatury „smutny szatan” Stanisław Przybyszewski.

Linia dramatu wewnętrznego bohaterki prowadzi za sobą autora, nie pozwala mu na konfrontację świata jej uczuć ze światem rzeczywistości zewnętrznej. Mimo, że kontury w utworze są zatarłe, autor ukazuje dzieje kochanków w sposób w zasadzie realistyczny. Analiza uczuć tak przeważająca w utworach innych autorów tamtego okresu, występuje na ile nietykalnie plastycznych, wszystkim szparami izolowanej fabuły przebijających się fragmentów i okrucichów realnego obrazu świata: czy to będzie szkodliwie zaznaczone środowisko społeczne Noemi i Kamila czy historia oszusta Atosa, czy wreszcie sprawa z komornikiem. Akcesoria te nie mają właściwie żadnego znaczenia dla przebiegu intrygi, istnieją one tylko z woli autora.

Bardzo interesująco wypada zestawienie „Niekochanej” z o dziesięć lat późniejszym „Czystym Nurtem”. I tu jedna ze stron jest „niekochana”. Jest nią w tym wypadku mężczyzna — Abel. Ale jakże inną jest ustawienie sprawy. Dramat rozgrywa się w zupełnie określonej sytuacji historycznej. O uczuciowym rozmięczeniu się bohaterów decydują dzieje całego społeczeństwa. Rudnicki wytycza punkty zasadnicze konfliktu między tymi, którzy doświadczyli bezpośrednio na sobie okrucieństw okupacji i w zmienionym świecie nie mogą i nie chcą odnaleźć siebie z przeszłości — a tymi, którzy przetrwali wojnę na jej marginesach i powrócili teraz niezmienni od wielu lat. Taka konfrontacja ludzi staje się przeciwstawieniem epok. W „Niekochanej” plastyka stylu jest zatarła, na rzecz pewnej płynności obrazów. W „Czystym nurcie” udratyzowane jest niemal każde zdanie. Niezwykle a przecież trafne skojarzenia metaforyczne, nadają stylowi plastykę niemal materialną.

Zatytułowalem dzisiejszy felieton strawstwowanymi słowami Rudnickiego. Jego twórczość jest trudna, bodaj czy nie najtrudniejsza w naszej współczesnej literaturze.

*) Adolf Rudnicki: „Niekochana” wyd II. Spółdz. Wydawnicza „Książka”, W-wa 1948.

Dzięki pracy N. Brodzkiego poznajemy prawdziwe oblicze Swiatosława Rajewskiego, najbliższego przyjaciela Lermontowa, który utratą wolności przypłacił rozpowszechnianie wierszy na śmierć Puszkina (został on zesłany do Ołoneckiej gubernii). Nie wiadomo o tym, że Rajewski był literatem. Interesował się nauką Fouriera i wyznawał socjalizm utopijny; tym też właśnie tłumaczy się ustęp listu, w którym Lermontow nazywa swego przyjaciela „ekonomiczno - politycznym marzycielem“.

Ciekawe i ważne są również dane dotyczące doktora Meiera (przedstawiony w „Bohaterze naszych czasów“ jako dr Werner), A. L. Turgeniewa, A. A. Stojypina, artysty Gagarina i innych, tworzących polityczno - społeczne środowisko, w którym obracał się Lermontow. Niepojęte są tylko i niesłuszne wysiłki W. Manujłowa, który chce „zrehabilitować“ dziennikarza A. Krajewskiego i podać w wątpliwość jego dobrze znaną, polityczną reputację ge-szefciarza bez skrupułów, który eksploatował

Biełłńskiego i zajmował później jawnie wrogie stanowisko w stosunku do doskonałej publicystyki lat sześćdziesiątych, którą reprodukowali Czernyszewski i Dobroljubow.

Nie wyczerpalimy bynajmniej wszystkiego w tym zbiorze literackim. Niektóre, wydrukowane w nim artykuły, nie są pozbawione wad. Krytyka będzie jeszcze na pewno omawiać poszczególne prace. Trzeba jednak przyznać,

że redakcja „Literaturnego Nasledstwa“ dokonała obzrymiej pracy i dużo zrobiła dla zbadań życia i twórczości jednego z największych rosyjskich poetów narodowych. Czytelnik zamyka książkę i długo jeszcze ma przed oczyma piękny wizerunek Lermontowa, którego poleźna poezja, według słów Hercena, „wstrząsnęła wielu sumieniami“.

E. Tarle

(Przełożyła Zofia Łapicka).

ADAM WAŻYK

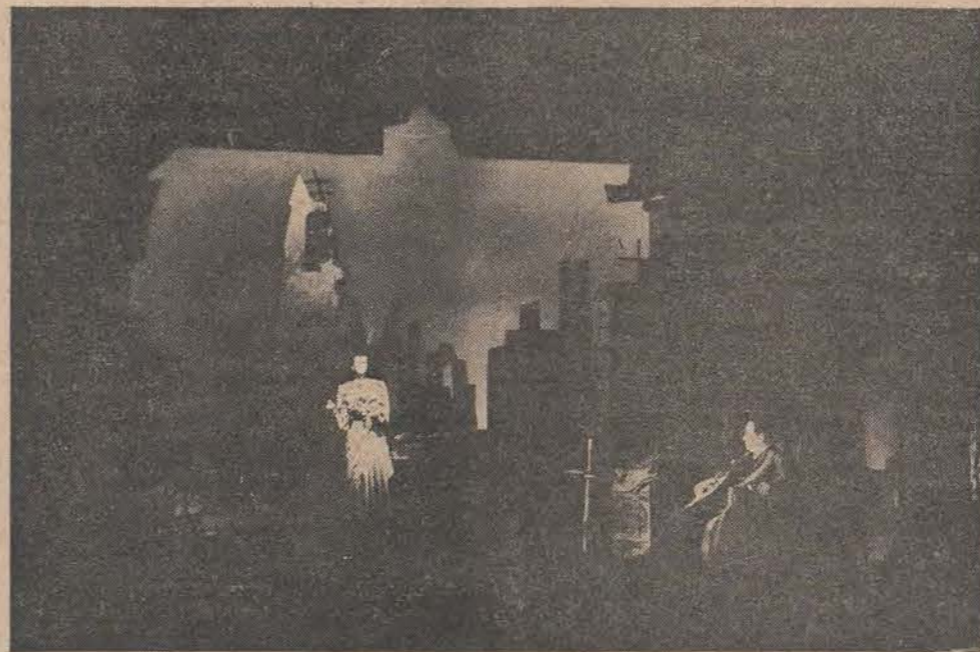
Z TEATRÓW ŁÓDZKICH

PAŃSTWOWY TEATR POWSZECHNY — „DWA TEATRY“

SZTUKA Szaniawskiego „Dwa teatry“ obiegła przed dwoma laty prawie całą Polskę, miała ogromne powodzenie. Jerzy Szaniawski jest jednym z nielicznych rutynowanych pisarzy teatralnych w Polsce. Zna dobrze mechanikę teatru, umiejętnie prowadzi dialog, zaciekawia widownię sytuacją, wyczuwa klimat sceniczny. W okresie, kiedy Krzywoszewski i Spółka dyktowali gusty teatralne, ten dobry technik reprezentował gatunek wyższy, delikatniejszy. Wyższość polegała na tym, że wprowadzał lekką, rozrzedzoną mgiełką neoromantyzmu, nastrój liryczny, miły dla mieszczańskiej publiczności kwadrans uduchowania, no i te „poetyczność“, tania bo tania, która uchodzi za poezję. Wszystkie zalety techniczno-duchowe dawnych sztuk Szaniawskiego można odnieść i w „Dwóch teatrach“, ale tutaj Szaniawski pokusił się o coś więcej. O filozofię. Skromniej mówiąc — o filozofię teatru. I muszę przyznać, że po obejrzeniu tej sztuki wyszedłem z poruszoną sumieniem. Sumienie moje poruszyła przypadkowo podsłyszana rozmowa przy wyjściu z teatru. Kilka osób z pośród publiczności doszło w tej rozmowie do następującego wniosku: sztuka tyle daje do myślenia, że im dłużej człowiek myśli, tym bardziej głowa mu puchnie. Zgadzać się całkowicie z tym sądem publiczności. Czy wiecie jak się poluje na słonią? Jest na to bardzo prosty sposób. Wiadomo, że słoniu to mądre stworzenie. Wystarczy zaiknąć w puszczy tabliczkę z napisem: dwa razy dwa równa się pięć. Mądry słoniu nie będzie mógł tego pojąć. Bedzie sobie łamał głowę, a kiedy ją złamie, wtedy można go zaciągnąć jak baranka. Autor „Dwóch teatrów“ zabawił się w myślowego. Wypisał, że dwa razy dwa równa się pięć. I upolował.

Jakąż to filozofia teatru Szaniawski wyłożył nam w swojej powojennej sztuce? Szaniawski umyślił sobie dwa rodzaje teatru, jakoby odmienne i przeciwstawne. Teatr pierwszy, nazywany „Małym zwierciadłem“ wystawia obrazki z życia, ukazuje życie w normalnym przebiegu. Drugi teatr pielęgnuje wartości duchowe lekceważone w „Małym zwierciadle“. Ma to być teatr duszy, hodujący ludzkie wspomnienia, niespełnione tęsknoty, zgryzoty sumienia, na które nie ma rady, no i wreszcie jakoweś wielkie przeczcucia. Dyrektor „Małego zwierciadła“ widzi ten drugi teatr we śnie, albo też po śmierci — w jego pierwotnej wersji autora.

Chcąc uzasadnić jakoś ten sceniczny sen dyrektora, autor obarczył go od początku sztuki manią zapisywania i badania snów. Dyrektor — to taki sobie skromny, mały Zygmund Freud na domowy użytek, oczywiście bez szkaradnego seksualizmu. Dyrek-



Teatr Powszechny w Łodzi. „Dwa Teatry“ Jerzego Szaniawskiego, w reżyserii Ireny Grywińskiej i oprawie scenicznej Zenobiusza Strzeleckiego. Na zdjęciu w scenie końcowej ostatniego aktu Danuta Karolewicz i Karol Adwentowicz

tor wierdzi, że zajmuje się snami naukowo i że w ogóle sny to rzecz interesująca, ludzie zajmowali się nimi jeszcze w starożytnym Egipcie. Słowem dyrektor odnosi się do snów bardzo poważnie. Jerzy Szaniawski również. Nic by się w sztuce nie zmieniło, gdyby autor kazał dyrektorowi zajmować się po prostu sennikami egipskimi. Była by to równie dobra ekspozycja wprowadzająca widza do teatru duszy i snów, a może nawet lepsza, jaśniejsza, prostsza. Słoniu nie musiałby łamać sobie głowy, od razu by zrozumiał, jak to wiedzą częściej go autor. Do sennika egipskiego i okultyzmu nie potrzeba aż Freuda.

Jak wygląda na scenie konfrontacja przeprowadzona przez autora między „Małym zwierciadłem“ a teatrem duszy? W „Małym zwierciadle“ widzimy obrazek sceniczny pod tytułem „Matka“. Stara wdowa po leśniku ma córkę i zięcia, spodziewa się wkrótce zostać babką. Przypadkowo przejeżdża przez las jakaś kobieta z miasta, dawna miłość jej zięcia. Stara matka nie dopuszcza do spotkania, które by mogło wywołać niepożądane komplikacje. A oto w drugim teatrze, w teatrze duszy czy snów, dowiadujemy się, że komplikacje duchowe mimo to istnieją, bo młody leśnik będzie wciąż patrzył na drogę i za czymś tęsknił. Trudno, możemy zgodzić się i na tęsknoty leśnika, sprawa jest osta-

ecznie tak blaha... Ale za to w następnym obrazku toczy się gra o śmierć i życie. Mammy powódź — szaleją żywioły. Przecieżona łódź ratunkowa zabiera z dachu chałupy matkę z dzieckiem, w ostatniej chwili bierze jej męża jako wiosłarza; dla jego ojca, zniechęconego starca, nie starczy już miejsca. Dochodzi w tej makabrycznej sytuacji do tego, że zrozpaczony syn uderza ojca wiośłem po rękach. Oglądamy tę ponurą scenę po to, aby później w teatrze duszy i snów, dowiedzieć się, że chociaż syn nie zawinił, to jednak głos ojca będzie go wciąż prześladował. A wszystko to sprawy ślepe żywioły przyrody. Autor wynalazł osobliwą sytuację, byle tylko oddać sumienie ludzkie pod przymus ślepych żywiołów. Oczywiście, wtedy sumienie staje się bezradne i tyle. Oba teatry Szaniawskiego, i „Małe zwierciadło“, i to drugie zwierciadło — duchowe są w gruncie rzeczy tym samym teatrem, lubującym się w sytuacjach bez wyjścia, w przestępstwach bez winowajcy, tym samym teatrem, uciekającym od rzeczywistych konfliktów życia, teatrem pozorów i tylko pozorów.

Idźmy dalej tropem Szaniawskiego. Oto przed wojną, jakiś chłopiec nazywany przez dyrektora chłopcem z deszczu, przyniósł mu wrytkowy utwór, strzępek natchnienia, wazję idących niewiadomo dokąd, uzbrojonych chłopców, którzy przypominali kruczając dzie-

cięcą. Po latach okazało się, że młodzi chłopcy warszawscy tak samo szli do powstania. Słowem ten dziwny chłopiec przeczuł wydarzenia historyczne. Ot tak sobie przeczuł, z niczego z powietrza, z deszczu. Chyba to trochę za łatwa propaganda wiary w przeczcucia. Obawiam się, że w następnej sztuce ten niewydarzony chłopiec może prosto z deszczu wpaść do stanisławowskiej Warszawy pod Białą i wyprorokować księciu Pepli, że zginie w nurtach Elstery. Na takie przeczcucia post factum — stać nas wszystkich. Ale napewno krzywdzie autora „Dwóch teatrów“. Napewno Jerzy Szaniawski nie chce narzucać nam takim kosztem wiary w przeczcucia. Po prostu poetyzuje sobie trochę, i to drogiem kosztem. Poetyzuje na tematy drogie sercu widza. Poetyzuje w myśl zasady, że poezja jest to podany w nieobowiązu-jące postaci zabobon. Taką zasadę wyznawali neoromantycy. Nie ubliża to rozsąd-kowi, natomiast bardzo ubliża — poezji.

Tu właśnie tkwi tajemnica formuły, według której dwa razy dwa równa się pięć. Każda filozofia, nawet spekulacja spirytualistyczna, nawet mistyka — ma swój system, swój tryb i porządek rozumowania. W sztuce Szaniawskiego nie ma mistyki, jest tylko mistyfikacja.

Możemy darować Szaniawskiemu jego teatr duszy i sennik egipski. We wcześniejszych aktach, pierwszym i drugim, wszystko wygląda o wiele normalniej i widać umiejętności techniczne Szaniawskiego. Akt pierwszy, miły, komediowy obrazek, wywołuje duże zainteresowanie dzięki prowadzącej roli Karola Adwentowicza. Jednoaktówka pod tytułem „Matka“ ma doskonałe i czyste ułożenie dialogu. W jednoaktówce pod tytułem „Powódź“ Szaniawski poradził sobie nawet z tym gatunkiem dziłkiego naturalizmu, jakim prawdopodobnie straszono nasze prababki pod koniec dziewiętnastego wieku. Obrazek ten zresztą został najlepiej odegrany. Nad artystami w innych partiach sztuki zaciążył niewłaściwy i wcale nie idący po myśl autora styl reżyserii wybrany przez Irenę Grywińską. Zamiast zachować wszystkie atuty sennika egipskiego dla ostatniego aktu, rozwleczono je hojnie po całej sztuce. Już w pierwszym akcie chłopiec z deszczu uśmiechnął się tak dziwnie jak goły pod rynną, a młoda aktorka Liżelotta była tak uduchowiona, jak tylko bywają aktorki w poczciwej wyobraźni prowincjonalnych dziewcząt. Pani matka z lasu co pewien czas przemawiała pogrobowym głosem. Skądinąd przecież wiadomo, że artystka ta potrafi grać inaczej. Tej miary i takiego doświadczenia artysta jak Karol Adwentowicz uporał się z niewdzięczną koncepcją reżyserką, ale inni wyszli z niej pokrzywdzani. Udał się natomiast sensowny i bardzo czysty styl dekoracji, które projektował Zenobiusz Strzelecki.

JANINA PREGER

O ŹRÓDŁACH HUMORU

NAKLADEM „Wiedzy“ ukazało się wznowienie „Żywota Łazika z Tormesu“ w przekładzie Maurycyego Manna (Warszawa, 1948, str. 103 i 1 n.). Autor tej sowizdrzalskiej opowieści hiszpańskiej, której do-chowało się dopiero drugie wydanie, z 1554 roku, pozostał anonimem. Opowiadka dostała się na indeks, nawet potajemnie jej wydanie ocenizowano, by rzecz, poczytna mimo zakazu, nie wyrządziła kłopotu wielu zła. Oto, co opowiada czytelnikowi polskiemu tłumacz o losach „Łazika“.

„Żywot Łazika z Tormesu“ jest sympatycznym okazem świetnego gatunku literatury sowizdrzalskiej. Autentyzm, realizm, humor, ciętość satyryczna, żywa fabuła awantur-nicza, dowcipna narracja i ostre społeczne — to cechy charakterystyczne tego gatunku.

Przy lekturze takich utworów zatrzymujemy się przede wszystkim nad pytaniem o społeczne źródła ich dowcipu.

Dowcip opowieści sowizdrzalskiej jest starego, ludowego pochodzenia, bardzo bliski autentycznego „dowcipu obiegowego“, który nie łączy się ze słowem. Bezimiennosc zapewnia mu bezkarność, dlatego jego ostrość jest niestępiona. — Późniejsze stylizacje literackie starają się naśladować tę nieskrepowaną swobodę języka, jego żywiołową autentyczność. Jego urok, jak każdego dowcipu w życiu, polega na szybkości obserwacji i na talencie podchwytowania charakterystycznego szczegółu.

Portrety ludzi w opowieści sowizdrzalskiej kreśli reprezentant „pospolitego gminu“, awanturnik, pieczeniarczy, flut, który pod li-chością własnego charakteru, jak pod wygodnym płaszczkiem, przemyca ostrą, wiele wiedzącą satyrę na „wyższy“ świat. Zna on ludzi „od tyłu“, sowizdrzał bowiem to jeden z pierwszych i radykalnych rewizjonistów, demaskatorów w literaturze, pierwszy i od-wieczny o starożytnych tradycjach reprezen-

tant krytyki społecznej. Postaci farsy staro-żytniej, średniowiecznych interludii — i nar-rator opowieści sowizdrzalskiej — to przecie jedna i ta sama persona. Dobrze nam znany, anonimowy wysmiewacz, człek z ludu o nie-wyparzonej gębie. Lichy charakter moralny tej postaci jest wygodnym pozorem „cenzu-ralnym“, dla wysokiej inteligencji i zmysłu krytycznego. Jeśli zaś niski gatunek moralny sowizdrzała nie ulega wątpliwości, to jedno-cześnie nasuwają się okoliczności społeczne, które zdolnego i ambitnego człowieka „z niż-szego stanu“ zmuszały do tego, by stał się flutem i łotrem przy panującym porządku świata. Łażdak doskonałe za to odkrywa łaj-dactwo innych, wysoko postawionych ludzi. Narracja odgrywa w opowieściach sowizdrzalskich wybitną rolę artystyczną, jest naj-subtelniejszym i najbogatszym składnikiem utworu. Słowa sowizdrzała, to krzywe zwierciadło, w którym dziwnym porządkiem rze-czy odbija się prawda życia — podszełka pięknych pozorów. Ta narracja była kunszt-ownym spletem naiwności i przemysłności. Jest to orzeźwiający typ literatury, sięgający do niego największy twórcy, Arystofanes, Szekspir, Beaumarchais, de Coster... zasobne źródło epiki.

Sowizdrzalska krytyka społeczna miała te zalety artystyczne i ten pozor niewinności wobec warstw panujących, że nie teoretyzo-wała, nie krytykowała zła społecznego, nie oburzała się na nadużycia ustroju, lecz wy-szydzała poszczególne osoby, zjadliwymi portrecikami wyżej czy niżej postawionych jednostek z klas posiadających, nasuwała wnioski, z którymi każdy czytelnik się zga-dzał. Szeroki ogół cofa się często przed „ide-ami wyrotowymi“, lecz łatwo go przekonać o szalbierstwach poszczególnych osób. Argument ad persona jest potężną, psychologicz-ną bronią krytyki społecznej, głoszonej przez sowizdrzałów. Wyszył z „pospółstwa“, znaj-dując zrozumienie u pospółstwa, gdyż nie

stracili z nim jeszcze kontaktu. Sowizdrzał, Łażlik to postać charakterystyczna i bardzo dogodna dla autora, by mówić bez ogródek i być słyszany. Opowieść sowizdrzalska jest wysokim gatunkiem artystycznym, nie-wątpliwie „marki“, który odznacza się nie przemijającą popularnością, a jest skrajnie odległy od anemicznych bibelotów sztuki cieplarnianej.

Popularność tych utworów opiera się na kardynalnych psychologicznych „punktach najwyższego zainteresowania“: zajmujące akcji (awantura, intryga) i plotce o człowieku. Niecenzurowany humor, talent realistycznej obserwacji, to nieodłączne zalety opowieści sowizdrzalskiej dla czytelnika. Sowizdrzał to, aby rzecz współcześnie — Wiech, tylko że naładowany w każdym szczególe tym, czego Wiechowi brak: sensem społecznym, co do którego się nikt nie pomylił.

Proporcja „bezsensownego humoru“ i owe-go sensu społecznego bywała w opowieści sowizdrzalskiej różna. „Łażlik z Tormesu“ jest reprezentantem najlepszego gatunku! Sens tej miniatury jest wymowny wymową świetnych portrecików psychologicznych, z których składa się „samo przez się“, bez de-komprowania się autora, owo odbicie u-smińkowanego i chodzącego na koturnach społeczeństwa hiszpańskiego.

„Nieprawie“ narodziny „Łazika“ w kompromitujących okolicznościach, bieda od zara-nia jego dzieciństwa, która każe mu ter-minować u ślepego dziada, głodna służba u księdza i szlachca, wreszcie dochrapanie się urzędu woźnego — oto furtki, którymi wliź-nął się sowizdrzał w życie, oto stanowiska, które pozwalały Łażlikowi rzucać okiem w niedyskretne zakątki życia wspaniałej mo-narchii hiszpańskiej.

Sowizdrzał, zawodowy „sprytny sługa“, z komedią, z biedy nie wyniósł moralności bez-plam, ale jedną rzecz posiada niesplamioną i nie wątpliwie wartości: żywotność i zdrowe

przywiązanie do życia. To zabarwia jego hu-mor. Humorowi temu przypada często szczyt-na rola ratownika dumy i godności ludzkiej, noszonej nawet przez tak lichy stworzenie, w chwilach fatalnych, gdy nie prócz humoru biedakowi nie zostaje. Ten humor staje się wtedy czasem patentem na prawdziwe szlachectwo Sowizdrzała, gdy w sytuacjach bez-nadziejnych nie składa bronii i nie kapituluje przed życiem. Sowizdrzał, Łażlik, sługa — posiada większe poczucie siły i przydat-ności życiowej niż jego pan, zmumifikowany szlachcic, — i dlatego właśnie najzłotliwsze płotki Łazika o jego panach tryskają uciec-nyim dowcipem, a nie jadem beślisnej złości. Dlatego właśnie obraz świata, przedstawiony przez biedaka, nie jest bynajmniej obrazem udreki i klęsk słabszego, świat nie jest po-lem jego kapitulacji — starczy w nim miejsce na śmiech szczydercy.

Opowieść Łazika, mimo całego niezamas-kowanego, brutalnego obrazu prawdy życia, jego drażliwej niemoralności, nie okrywa-nej obłudą — jest donośnym głosem rewolu-cyjnej krytyki, wychodzącej od najszerzych warstw pospółstwa. Zło, sprzedażność, po-chlebność, pieczeniarstwo, mściwość, które skazyły oblicze tego trybuna ludu, zapowia-dają wyraźnie żywiołowe wyrównanie krzywd społecznych. Głos tego wesółka, gdy opowiada o nędzy i beztrosnych naigrywa-niach, doznanych od losu i ludzi, jest pełen gwałtowności, i jego rozpacz kryje groźbę.

Postać Sowizdrzała, opowiadającego uciesne historyjki znad Tormesu, należy do wspaniałego szeregu twórców satyrycznej epiki ludowej, (które) autorzy jednak nieko-niecznie z ludu pochodzili, a często byli wy-bitnymi inteligentami swojego czasu).

Polszczyzna przekładu prof. Maurycyego Manna, o ile sędzić można bez znajomości oryginalnego utworu, nie przynosi ujmę pysz-nemu językowi Łazika, który po dowcip nie musiał sięgać do kieszeni.

NA PÓLKACH
KSIĘGARSKICH

PRZEGLĄD PRASY

ROK SŁOWACKIEGO

Stanisław Strumph-Wojtkiewicz, Emigranci. Okładkę projektował K. M. Sokołko. Warszawa, „Czytelnik”, 1948. Str. 204 i 4 nl.

Strumph-Wojtkiewicz jest autorem dwóch dość znanych książek („Sikorski i jego żołnierze” oraz „Gwiazda Władysława Sikorskiego”), w których przedstawił bardzo wyraziście stosunki emigracyjne podczas wojny światowej.

Uczynił to ze znajomością rzeczy, z wielką dozą szlachetnego krytycyzmu i temperamentem publicystycznym, poznał bowiem z bliską naczynnością wszystkie stadia politycznego rozkładu emigracji, jej pogłębiającą się konsekwentnie niemożność moralną i brak poczucia rzeczywistości dziejowej, co na terenie okupowanego kraju wywoływało — jak wiemy z przebiegu powstania warszawskiego — skutki wręcz tragiczne.

Od wspomnianych książek o charakterze publicystyczno-wspomnieniowym zaprzagnął Strumph-Wojtkiewicz przejść do pokrewnego tematyki utworu powieściowego, napisał więc — „Emigrantów”. Tu jednak nie wystarczyła dobra znajomość emigracyjnych realiów i umiejętności ukazywania ich w świetle krytycznej prawdy. By zamknąć epopeję emigracyjną w powieściowym kształcie literackim, by obfity surowiec spraw widzianych i poznanych przetworzyć w dzieło zbudowane według kryteriów i rygorów artystycznych, niezbędne są kwalifikacje nie tylko publicystyczne i pamiętnikarskie, lecz przede wszystkim uzdolnienia pisarskie innego rzędu, których w „Emigrantach” nie odnajdujemy.

Jest to powieść typu „awanturczego”, można by rzec: filmowo-sensacyjnego, w której niezwykle przygody i przypadki spływa się jak z rogu obfitości, w której nieprawdopodobieństwa sytuacyjne gonią jedno za drugim, w której bohater ma zawsze „szczęście w nieszczęściu” — i to głównie dzięki nieoczekiwanej interwencji „demonicznych” niewiast, pracujących — jak przystało na wojenne heroiny — w różnych wywiadach i kontr-wywiadach.

Sam bohater główny — podchorąży Darewicz (w cywilu inżynier-mechanik), wędrujący po świecie — wśród wrogich zamachów i zasadzek — niezwykle krętymi szlakami emigracyjnymi, budzi sympatię i współczucie, ale i niecierpliwie często swą biernością i brakiem światopoglądowego oblicza, wskutek czego staje się bezwolną ofiarą losu i cierpiąc bez winy własnej podatką ofiarą w rękach nieprzyjaciół. Bardziej pozytywną postacią wydaje mi się dzielnego marynarza — Walenty Robak, który potrafi z męskim zdecydowaniem wybrać z najgorszych opcji, nie poddając się wahaniom i refleksjom, dążącym nieszczęśliwego Darewicza.

Niewątpliwą zaletą „Emigrantów” jest wierne i żywe odzwierciedlenie różnych środowisk emigracyjnych — tego z paryskiego hotelu „Regina”, tego — z armii Andersa i wreszcie tego, które grupowało się wokół mafii sanacyjnych „dwojkarzy”, ryjących gdzie i jak się dało podkopy pod Sikorskim. Tu znajdujemy bardzo wiele trafnie uchwyconych i utrwalonych rysów charakterystycznych, których złośliwie oddziaływanie miało następstwa w polityce emigracyjnej i po roku 1945.

Sądząc, że z powieści Strumph-Wojtkiewicza, zgodnie z jej formą i stylem, dałby się wykreślić bardzo interesujący i pouczający scenariusz filmowy. Materiału tego właśnie rodzaju w „Emigrantach” są całe złoza. Kto wie, czy nie należałoby poprobać. **bd.**

Biblioteka Wyższej Szkoły Nauk Społecznych w Krakowie, pod redakcją Stefana M. Grzybowskiego. Seria A. Tom 3. Ogólnego Zbioru: Tom 8. — Konstancy Grzybowski, Nauka o Państwie, Część I. — Kraków, „Placówka”, 1949. — Str. 220.

W latach przedwojennych, w zakresie nauki o państwie podługiwano się zazwyczaj podręcznikowi prof. A. Peretiatkiewicza — „Państwo Współczesne”, wydanym mniej więcej przed czterdziestym. Podręcznik ten, aczkolwiek zaktualizowany w r. 1946, nie jest już jednak wystarczający na potrzeby dzisiejsze, stanowi bowiem jedynie krótką encyklopedię pojęć i zagadnień, związanych z tzw. nauką o państwie, i oparty jest na przestarzałych teoriach okresu liberalno-burżuazyjnego, ideologicznie dalekich od podstaw światopoglądowych naszej epoki.

Praca prof. K. Grzybowskiego pt. „Nauka o państwie”, której część pierwsza (ogólna) ukazała się niedawno, mimo swego charakteru podręcznikowego, potraktowana jest znacznie głębiej i obszerniej, dzięki czemu otwiera przed czytelnikiem szersze horyzonty naukowe, dając nim nie tylko przegląd zagadnień i doktryn, lecz również niezbędny krytyczny komentarz. Swoją książkę prof. Grzybowski gruntownie na niezachwianym fundamencie wiedzy marksistowskiej, uwzględniając wyniki nowoczesnych badań historycznych, socjologicznych i prawniczych, formuluje w toku wykładu szereg nowych definicji różniących pojęciowych i uogólnień.

W części pierwszej „Nauki o państwie” autor omawia kolejno pojęcie „państwa” i jego elementy składowe, problem „państwa” jako „narzędzia klas rządzących”, genezę instytucji „państwa”, wreszcie historyczne formacje państwowo-ustrojowe, więc — państwo niewolnicze, feudalne i kapitalistyczne, w różnych jego odmianach („modelach”). Ten o-

ZACZNĘ od spraw, które nie wspólnego nie mają z tytułem. Zaczę od krytyki własnego pisma. Uważam, że czytelnicy „Kuźnicy” dostrzegli z pewnością, że pomyłki i błędy łatwo znaleźć na naszych łamach. Sam ze zdumieniem oglądałem niedawno podobiznę ojca księcia Adama Czartoryskiego podaną jako wizerunek gospodarza Hotelu Lambert — samego księcia Adama. W tym też numerze jako wcielenie przyjaznego i serdecznego stosunku Mickiewicza do Rosjan występował major Plut, choć w „Panu Tadeuszu” Plut pokazany jest jako renegeat, świadectwem zaś dobrego mniemania Mickiewicza o narodzie rosyjskim jest postać Rykowa. Z jeszcze większym przerażeniem przeczytałem w następnym numerze sprostowanie tej fatalnej pomyłki, która wynika zapewne z rozrządzenia autora artykułu. Oto jak brzmi tytuł nadany przez redakcję owemu autorskiemu sprostowaniu: „Nie Plut a Rykow”. Nie wiem, co gorzej — czy mylić postaci „Pana Tadeusza”, czy też zamiast „lecz” pisać „a”. Ale zdaje mi się, że oba błędy są gorzej. Myślę, że powinniśmy ogłosić może jakiś konkurs, podobny do konkursów ogłaszanych przez niektóre pisma codzienne. Tylko, że tam najczęściej rzecz polega na odnalezieniu jakiegoś sensownego zdania w tekście numeru, konkurs zaś nasz polegałby na wyszukiwaniu błędów korektorskich, technicznych, drukarskich oraz lapsusów autorskich.

Nie ma jednak na świecie ludzi nieomylnych. Istnieją natomiast rozmaite zakresy omylności. Zakres w jakim omyłki popelnia „Kuźnica” nie jest groźny. Większość naszych czytelników orientuje się od razu, gdzie popelniono błąd i na czym on polega. W ten sposób nasze błędy szkodzą raczej tylko nam. Istnieje jednak inny zakres omylności. Kiedy na przykład profesor uniwersytetu pisze, że imperializm miewa strony dodatnie, to jest to błąd, który szkodzi nie tylko profesorowi, ale przede wszystkim czytelnikom. Wprowadzając w błąd autorytetem profesorskiego nazwiska, czytelnicy zaczynają się zastanawiać nad tym, co powie dział profesor. Uczynią jednak niesłusznie, bo ich własne doświadczenie historyczne pouczyło ich już w smutnych latach wojennych, że żaden imperializm nigdy nie miewa żadnych stron dodatnich

i szkodzi zarówno narodowi wobec którego jest stosowany, jak i narodowi, którego warstwa rządząca taki imperializm stosuje.

Inny przykład błędu znacznie poważniejszego od lapsusów, błędów korektorskich i technicznych, jakie czytelnicy spotykają w naszym piśmie, dał inny profesor uniwersytetu, który w jednym z poprzednich numerów „Tygodnika Powszechnego” usiłował na podstawie dowolnie wybranych cytatów z listów Juliusza Słowackiego dowieść wbrew dzielnemu poecie, że autor „Odpowiedzi na psalmy przyszłości” i uczestnik powstania w Poznaniu był religijnym konformistą. Taki bowiem jest moralny artykuł prof. Konrada Górskiego, o czym zresztą pisał już w „Kuźnicy” Mieczysław Jastrun. Prof. Górski pisze m. in. „Śmierć jest ostatecznym sprawdzianem i miarą szczerości naszej postawy życiowej”. Czy to nie jest wprowadzenie w błąd czytelników? Miałą szczerości życiowej Słowackiego były jego decyzje w sprawach sztuki i polityki. Decyzje zaś owe nie dadzą się przesłonić frazesem metafizycznym. Czy nie jest większym błędem mylić własne poglądy społeczno-polityczne z poglądami Słowackiego i zacierać starannie wszelkie rysy radykalizmu społecznego w życiu i dziele poety? Wydaje mi się, że to w roku Słowackiego błąd poważny, bardziej przykry od wielu lapsusów i pomyłek drukarskich.

Na szczęście nie wszystkie pisma starają się o to, by pokazać czytelnikom Słowackiego — religianta, takiego, który może być zaakceptowany przez Kurie Xiążęcą-Metropolitalną Krakowską. Cała prasa codzienna i tygodniowa poświęciła sporo miejsca Słowackiemu. W „Odrodzeniu” ukazało się wnikliwe studium świętego znawcy poezji Słowackiego, Juliusza Kleinera, p. t. „Triumfy realizmu w nierealistycznej poezji”. Kleiner wskazuje na tę sprzeczność, która być może stanowi właśnie o genialności dzieła poetyckiego autora „Beniowskiego”. Krystyna Gzybowska pisze o wystawieniu „Kordiana” w teatrze Osterwy. Premiera odbyła się w roku 1933. Artykuł Grzybowski będzie niewątpliwie bardzo cenny dla reżyserów i aktorów, którzy wraz z pisarzami i publicystami przystąpili do pracy nad upowszechnieniem teatru Ju-

liusza Słowackiego. O przedstawieniu „Balladyny” w kijowskim teatrze „Studio” w roku 1917, w reżyserii Stanisławy Wysockiej pisze Stanisław Kwaskowski. „Dziennik Literacki” zamieścił fragment biografii Słowackiego, omawiający czasy pobytu w Rzymie. „Przekrój” dał dobry odpowiednio opracowany fotomontaż. „Tygodnik Powszechny” poza wspomnianym artykułem prof. Górskiego zamieścił fragment z niedrukowanej pracy J. Gał. Pawlikowskiego, niezującego wydawcy i komentatora „Króla Duchy”. We fragmencie tym mowa o „Niejasnościach Króla - Duchy”. Analizę „Genezis z ducha” przeprowadza Juliusz Kleiner w pracy „Twórca wielkiej fantazji naukowej”.

„Tygodnik Powszechny” pokazał nam wbrew temu co nasi katolicy tak często piszą, że są „związani z realizmem życia ziemskiego”, tylko Słowackiego-eskapistę, religianta, metafizyka. Dzieło Słowackiego jest ogromne — jeśli z niego jednostronnie dobierać fragmenty i cytaty, można starannie zatrzeć wszystko to, co w Słowackim było naprawdę żywe, świeże, nowe, co wzbogaciło naszą narodową kulturę. Można zrobić ze Słowackiego „trzecie-głoszycza” w konwencjonalnym znaczeniu tego słowa. Można mu odebrać wszystkie cechy ludzkie, wepchnąć w gnuśny zaścianek z wiersza „Przy klasztorze...”, pominąć milczeniem jego radykalizm, jego surowy sąd o szlachcie, jego niechęć do Watykanu, jego postępowe poglądy na sprawę agrarną, na zagadnienie chłopskie. Ale uczynić to — znaczy zabić Słowackiego po raz wtóry. Odebrać mu to wszystko, co sprawia, iż jest on nam dziś tak bliski. Oddać Słowackiego, uczynić z niego świętą na tym rozstaju, gdzie rozchodzą się drogi prawdy historycznej i jednostronnej interpretacji, to znaczy wprowadzić w błąd czytelników. Ale na szczęście są dzieła Słowackiego, jego listy, jego myśli i uwagi. Lektura tych dzieł wyprowadzi z pewnością z błędu każdego, kto uwierzył prof. Górskiemu. Toteż jestem solidarny z niepodpisanym autorem rubryki „Tygodnika Powszechnego” — „Z dnia”, gdzie czytamy: „Mamy nadzieję... że ukaże się zbiorowe wydanie dzieł poety”. Dodajmy — wydanie pełne, opracowane naukowo, bez dowolnych interpretacji. W roku Słowackiego byłoby sprawą najistotniejszą. **ph.**

statni rozdział jest najobszerniejszy, zbliża nas bowiem swą treścią do epoki współczesnej; w nią wprowadza, przynosi obfitość materiału instrukcyjnego i porównawczego.

Książka prof. Grzybowskiego, zapelniając dotkliwą lukę podręcznikową w zakresie „nauki o państwie”, ma wszelkie zalety, by znaleźć szerokie rozpowszechnienie i dobrze przysłużyć się tym, którzy z niej korzystają będą.

Proces krakowski. — Niepokoleczycki, Mierza i inni przed sądem Rzeczypospolitej, Warszawa, Państwowy Instytut

Obszerny tom z cyklu „Dokumenty” zawiera relację z wielkiego procesu politycznego, który toczył się przed sądem krakowskim w

r. 1947, mając za przedmiot działalność WIN-owskiego i PSL-owskiego „podziemia”, kierowanego przez oskarżonych: Niepokoleczyckiego, Mierzę, Buczkę i in. Relacja, oparta na stenogramie rozprawy sądowej, obejmuje: akt oskarżenia, zeznania pod sądnych i świadków, opinie biegłych, przemówienia prokuratora i obrońców, ostateczne sędziowskie orzeczenie i wyrok i jego uzasadnienie.

Cały ten obfity materiał sprawozdawczy daje jasny i szczegółowy obraz działalności głównych ośrodków „podziemnych”, uzależnionych ściśle od emigracyjnej centrali londyńskiej i jej anglosaskich mocodawców. Wrogię Polsce Ludowej, ustrojowi demokratycznemu i interesom narodu polskiego dążenia organizacji WIN oraz powiązanych z nią nikolajczykowskich grup PSL-u, ujawniają

się w przebiegu procesu z ogromną i sugestyjną wyrazistością. Z niemiejszą dokładnością poznajemy również metody i sposoby, stosowane w działalności „podziemia”, wśród których szpiegostwo, dywersja, fałszerstwo polityczne i pospolite kłamstwo zajmują naczelną rolę.

W obszernym komentarzu końcowym redaktor publikacji — Roman Werfel podsumowuje wnioski, jakie demokratyczna opinia polska powinna wyciągnąć z procesu Niepokoleczyckiego i współoskarżonych: „Wiele przemawia za tym, że londyński ośrodek emigracyjny machnął ręką na niedobitków WIN-u i buduje inną, różniącą się odeń nie tylko w nazwie, lecz również w wielu szczegółach struktury i techniki roboty, organizację podziemną. Zmieniać mogą się tym bardziej legalne i półlegalne formy walki wroga klasowego o przywrócenie w Polsce panowania wielkiego kapitału i obszarnictwa... Formy mogą się zmieniać, ale treść i zasadniczy kierunek dążeń reakcji pozostanie ten sam...”

„Chociaż podziemie będzie się kurczyło pod ciosami obozu demokratycznego, w miarę dalszych sukcesów gospodarczych i politycznych, musimy być przygotowani do walki z nim, do systematycznego i planowego tapienia jego roboty”. A w tym celu niezbędne jest nie tylko sprawne funkcjonowanie aparatu władzy państwa ludowego, lecz również potężna akcja masowa demokracji. Definitywną i nieodwołalną klęskę podziemie poniesie wtedy, gdy „do stałej, systematycznej, codziennej walki — walki ideologicznej, walki propagandowej, walki uświadamiającej, walki docierającej do każdego odłamu świata pracy — wystąpi cały ruch robotniczy, cały obóz demokratyczny”.

Takie fakty, jak niedawne wykrycie i aresztowanie nowej grupy „podziemnej” Redosiława-Mazurkiewicza potwierdzają w zupełności słuszność przytoczonych wyżej przewidywań i ostrzeżeń. **bd.**

ROK CHOPINOWSKI ZA GRANICĄ



I nagroda



II nagroda



III nagroda

W Meksyku ogłoszono konkurs na plakat w związku z obchodem Roku Chopinowskiego. Reprodukujemy projekty, wyróżnione I, II i III nagrodą

Koty

Błędy językowe

Zachwaszczenie języka publicystyki literackiej przybrało na sile. Należałoby uderzyć na alarm. I tu nie chodzi już tylko o nadużywanie słów obcych, ale również o te wszystkie chwytliwe językowe, które już nie znaczą, tak są wytarte i znoszone. Grozi to nie tylko „czystości mowy”, ale samej istocie słowa pisanego, przekreśla jego funkcję: możliwość porozumienia się z czytelnikiem. Obserwujemy coraz widoczniejsze zważanie się słownictwa nawet u znanych literatów i publicystów, koszenie znaczeń, posługiwanie się utartymi zwrotami, które odbierają pierwszą świeżość słowom.

Należy raz wreszcie wyrzec się „bazowania”, „rozpracowywania”, „wspólnego języka” itd.

Nie ma kultury literackiej i w ogóle kultury bez czystego i ściśle oddającego myśl języka. Tylko martwe kultury przemawiają mową nagrobków. Autor uczy się od innego autora, z lenistwa, i jakgdyby z obawy przed oryginalną myślą włączy w użyty wspólny pracą wózek sloganu, tak że tylko uszy wystają mu z worka. Większość artykułów nadsyłanych do tygodników literackich pisana jest takim bezbarwnym językiem. Niech się nikt nie tłumaczy „niewdzięcznością” przedmiotu. Nie ma rzeczy, o której nie można by było napisać interesującego dzieła, studium, artykułu czy felietonu. Wreszcie — pospolite błędy gwary dziennikarskiej. Bardzo pożyteczną rubrykę wprowadziła od niedawna „Trybuna Ludu” wylawiając z mnóstwa błędów językowych perły tej gwary, która szeroka falą zalewa nasze dzienniki i nie tylko dzienniki. Należałoby wreszcie zrozumieć, że nie mówi się po polsku „tym niemniej”, lecz „niemniej”, że nie mówi się „na oczach naszych”, lecz „w oczach naszych”, że nie mówi się: „nie pies a wydra”, ale: „nie pies, lecz wydra”, że nie mówi się...

Stanowczo lepiej nie mówić, kiedy się nie ma nic do powiedzenia. Stanowczo nie należy pisać długich artykułów na tematy, o których ma się słabe pojęcie, i w których właśnie w braku pojęć ukazują się słowa, słowa, słowa.

A przecież publicystyka polska ma niezłą tradycję, ma wzory, po które sięgnąć warto. Żeby tylko wymienić „Kroniki Tygodniowe” Prusa.

A może by tak poczytać trochę? Może by tak wykorzystać skarby mowy schowane w książkach dawnych i nowszych, może warto by przeczytać to i owo z „Boy-Zelenkiego”, który miał styl żywy, świeży i cięty?

Nie chcę generalizować. Są publicyści, krytycy, essayści, piszący niekiedy pięknym i ścisłym językiem. Ale nie mogę ich tu wymienić, bo nie lubię mówić komplementów swoim kolegom.

Jeśli ta wypowiedź ukazuje się w „Kuznicy”, to nie znaczy, by tygodnik nasz czuł się wolny od grzechu nagminnej dziś niedbałości w mowie i piśmie. Ale gdzieś i kiedyś trzeba wreszcie zadzwonić na alarm i przypomnieć to życzenie poety:

O polskie dźwięki, tak spojnie związane,
bądźciecie w lata czytane.
Będą się uczyć z was słów mowy zboru,
w was mając skarby wyboru,
w was same najśodsze miody,
kwiat najwonnieszy urody... m. j.

Scalony maszyn duchowy

Ukazanie się powieści Władysława Orkana „W rozstawkach” zasługuje na uznanie tym bardziej, że wznowienie to udośćpełnione zostało szerokim rzeszom czytelników w ramach Komitetu Upowszechnienia Książki w starannej szacie drukarskiej i po przystępnej cenie.

Niedoskonałość jednak świata tego sprawa, że ta książka bardzo dobrego pisarza ma poważną skazę: przedmowę. Niedoskonałość świata tego sprawiła, że przedmowa ta nosi na sobie wyraźne piętno starej polonistyki, która jest córką Młodej Polski, świekrą „Tygodnika Powszechnego” i jastrzążką Uniwersytetu Jagiellońskiego z czasów, gdy królował w nim Tarnowski. Oto co pisze autor przedmowy:

„Mając na uwadze te właśnie problematykę społeczną powieści Orkana, biorąc ponadto w rachubę zakrój psychiczny jej bohatera naczelnego, można ulec łatwej pokusie i mówić o zbyt może wielkiej uległości pisarza wobec czy to kompleksów ideowych czy też poszczególnych formacji literackich przeszłości. Zapewne. Wydumany przez Franka Rakocznego na zbrocu Gerców plan kolektywnego ustroju wsi jako ratunek przed napierającym widmem nędzy dałby się przeczytać powiązać z utopijstycznymi pomysłami ideologicznymi wielkiej emigracji po r. 1831, żeby dalej nie szukać — to, choćby gromady Grudziądz Ludu Polskiego. Ale też szczytowy moment konfliktu: wystąpienie Rakocznego na zebraniu Rady gminnej z projektem przebudowy gospodarki wiejskiej na nowy ład, niewątpliwie sformułowany został artystycznie na miarę Konradową; z tym

samym rozpadem lotu, ale i z tymże samym załamaniem”.

Te frazy, na pozór niewinne, w istocie są szkodliwe. Nazywają walkę o sprawiedliwość społeczną „kompleksem ideowym”, starają się pomniejszyć znaczenie rewolucyjnych programów wielkiej emigracji, usiłują przerzucić konkretną, i bardzo rzeczywistą sprawę walki o nowy ustrój w strefy ogólników metafizyczno-Konradowych. Poza tym styl, styl młodopolski, styl rdzenny, plemienny, miągawaty, piastowiczowski.

„A po wtóre powieść ta jest osobliwym przejawem dziedzictwa kulturalnego w przetrzymującej się Polsce. Wykazuje ona w tworzywie swym jakby sioję formacji duchowych przeżytych i przewyciężonych przez pokolenia poprzednie, a teraz w jednym stopniu niejako ogarniętych na nowo z całą świeżością ujęcia przez spadkobiercę: pisarza, który wprost ze wsi szturmem wziął wysokie miejsce w literaturze. W ten sposób jest ona dowodem rozrastania się i scalania maszyn duchowego nowej Polski”.

Cóż to wszystko znaczy? To ma być pokarm dla czytelników, mówiąc w stylu przedmowy: to ma być miążga żywność i pył rośny dla kwiatu Nowej Polski: dla chłopów, robotników, dla młodzieży?

rkm.

Dwie wypowiedzi

„Opozycja domagała się zaprobowania takich całkowicie pozabawionych sensu projektów, jakimi są: ządanie zakazu użycia bomby atomowej czy też propozycja redukcji zbrojeń” („Osservatore Romano” z 28 marca roku 1949).



„A więc najpierw sprawa rozbrojenia. Sprawa ta została postawiona przed światem w absurdalny sposób. Nie należało nigdy mówić o rozbrojeniu” (Mussolini w mowie wygłoszonej 26 maja 1934 roku).

Przytaczamy za organem włoskiej partii komunistycznej „L'Unita” bez komentarzy... rt.

MJB Priestley jest znużony

M. J. B. Priestley odmówił wzięcia udziału w światowym Kongresie Pokoju, który odbędzie się wkrótce w Paryżu. Stanowisko pisarza angielskiego wywołało zdziwienie i niesmak w postępowych sferach intelektualnych całego świata. Oto co pisze na ten temat Louis Aragon w „Les lettres francaises”:



„M. J. B. Priestley zawiadomił organizatorów Kongresu, że już tysiącrotnie wypowiedział się na temat pokoju i że jest poza tym znużony międzynarodowymi konferencjami i kongresami. Co to oznacza? Czy Priestley sądzi, że jego wysiłki zostały już uwiecznione powodzeniem i że wszystko, co można było dla pokoju zrobić, już zostało uczynione? A może zwątpił on o pokój? Podczas gdy miliony mężczyzn i kobiet wybierają swoich delegatów na Kongres Paryski, Priestley jest znużony Kongresem Pokoju?”

Pan Priestley, nie tak bardzo zresztą znużony, zorganizował w marcu w Oxfordzie według swego upodobania małe zebranie „for a world truce”, w obronie pokoju światowego, nie chce jednak poprzeć Kongresu Światowego. To oznacza, że pokój, zwyczajny pokój, do którego dąży on wspólnie ze swymi przyjaciółmi, nie ma nic wspólnego z pokojem, którego będą broniły w kwietniu w Paryżu miliony mężczyzn i kobiet. To oznacza, że jego narodowe zebranie w Oxfordzie zorganizowane przez

Union of democratic control miało zamiar mówić o pokoju tylko pod niezbyt demokratyczną kontrolą tej upiornej unii. To oznacza dalej, że głębokie myśli o pokoju, które pan Priestley tak często wypowiadał, że aż zmęczyl się nimi, nie powinny zmieszać się z pragnieniami milionów i dziesiątek milionów kobiet i mężczyzn, którzy chcą żyć, budować, uchronić swoje dzieci od śmierci i którzy nie mają nic wspólnego z fabrykantami bomb atomowych ani też z rządami, podpisującymi pakt atlantycki

Pytacie mnie, dlaczego biorę, jako pisarz, udział w tym Kongresie? Jako pisarz i jako człowiek uczestniczę w nim, ponieważ nie jestem współnikiem podległości wojennych, chociażby to byli nawet członkowie mojego rządu. Jest to dla mnie sprawa honoru, a nie osobista, jest to sprawa całej narodowej. Nie zapomniałem wszakże milczenia wielu intelektualistów niemieckich, kiedy Hitler zagroził pokojowi i kiedy go pogwałcił. Tym razem Francuzi nie będą milczeli; w obliczu zbrodni Priestley mniema, że raz na zawsze zrobił wszystko, co jest potrzebne dla ocalenia honoru brytyjskiego. Jest to jego rzecz. Honor brytyjski nie jest moją sprawą”.

Atomowa reklama

Miesięcznik „Readers Digest”, który służy do ogłupiania umysłu przeciętnego Amerykanina, rozchodzi się w Stanach Zjednoczonych w pięciu milionach egzemplarzy, a ponadto jest również drukowany w Szwajcarii oraz w Essen w języku niemieckim. W marcowym numerze niemieckiego wydania („Das beste aus Readers Digest”) zwraca uwagę artykuł Williama Bradforda Huila o przyszłej wojnie atomowej, z którego pozwolimy sobie przytoczyć dwa następujące fragmenty:

„Już w czasie pierwszych ataków mogą być mieszkancy wielkich miast rosyjskich masowo, tj. milionami, wymordowani. Prosty rozkaz (prosty!!!) prezydenta wystarczy, aby lotnictwo wojskowe natychmiast przystąpiło do ataku.

Lotnicy nie muszą bynajmniej martwić się, czy utrafią w cel, czy też nie. W wojnie atomowej ludzie nie mają żadnego znaczenia, podobnie jak i ośrodki przemysłowe. Nie potrzeba niszczyć fabryki, jeśli załoga zostaje unieszkodliwiona”.

Byłoby błędem rozpatrywać powyższe słowa tylko jako objaw zdziwienia i wyjątkowego barbarzyństwa. Autor otrzymał zapewne wysokie honorarium w dolarach, artykuł zaś został bez wątpienia napisany na zamówienie. Sprawa jest jasna. Ludzie powinni uwrzeczy w wojnę atomową, która szybko i tanio rozwiąże wszystkie trudności powojenne, i zrezygnować z oporu przeciwko wojnie. Inspiratorzy podobnej „literatury” zapominają o zwyczajnej prawdzie: kto sieje wiatr, ten zbiera burzę.

ks.

Hollywoodzkie tytuły

Aldous Huxley, autor „Nowego wspaniałego świata”, zapragnął — jak sam opowiada w jednym z pism angielskich — zostać scenarzystą filmowym. Nie pierwszy, nie ostatni. Napisał też scenariusz filmowy na podstawie swej sztuki „Uśmiech Giocondy” i przedstawił go jednemu z wielkich filmowców hollywoodzkich.



— Gioconda? Gioconda? — wykrzyknął potentat filmowy. — Co to takiego? Nikt nie ma pojęcia, co to znaczy. To nie jest tytuł

— No, dobrze — odparł żartobliwie ustępując Huxley — więc można to zatytułować „Śmiertelne szczytki”

— To nazbyt literackie! — oburzył się filmowiec — Potrzeba krwi, rozkoszy... Proponuję panu trzy tytuły: „Śmierć w imbryku”, „Strzeż się, sercel!” i „Czarna orchidea”. Proszę wybierać.

— Ależ w mojej opowieści nie ma nic tylko czarnej, ale w ogóle żadnej orchidei!

— To nie ma znaczenia. Doda ją pan.

im.

Zasługi wydawców

W bieżącym tygodniu na półkach księgarskich ukazały się następujące książki; o trwałej wartości, cenne pozycje literatury klasycznej.

„Nakładem „Książki” — dwa kolejne (VIII i IX) wydania zbiorowego wydania dzieł Bolesława Prusa obejmujące „Skizce i obrazki” (t. VIII) oraz „Opowiadania wieczorne” (t. IX). Nakładem „Czytelnika” w wydaniu zeszytowym („Biblioteka Romantów i Powieści”) wydano „Opowiadania” Turgeniewa w przekładzie L. Podhorskiego - Okołowa. Zeszyt ten zawiera kilka opowiadań z „Notatek myśliwego” oraz „Mumu”. Jest to szósta — i nieostatnia — pozycja bibliograficzna Turgeniewa w okresie powojennym. W „Czytelniku” również, w serii książek klubowych, ukazały się „Opowiadania” Maupassanta w przekładzie R. Czekalskiej - Hevmanowej. W skład tego wchodzi m. inn. „Miss Harriet”. Szkoda tylko, że tom Maupassanta będzie na razie dostępny tylko dla prenumeratorów zorganizowanych w kluby ph.

KSIĄŻKI NADEŚLANE

- Władysław Orkan: Dzieła pod red. Stanisława Piągonia. Komornicy. Powieść. Wyd. VII. Nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1948, str. 166.
- Władysław Orkan: Listy ze wsi i inne pisma spoleczne. Wybór. Do druku przygotował i wzbogacił wstępem poprzedził Stanisław Piągon. Nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1948, str. 217 z 390.—
- Dr. Galeazzo Ciano: Pamiętniki 1939—1942. Przekł. K. Fudzińskiego. Nakł. spółki wydawniczej St. Jamlińskiego i T. J. Ewert, Łódź 1949, tom I — str. 388, tom II — str. 224.
- Jan Władysław: Ognie w Piryjach. Powieść. Nakł. Zakładów Wydawniczych B. Maluszewski, Warszawa 1948, str. 322.
- Paweł Kubisz: Opowieść wydziedziczonych. Utwór dramatyczny. Nakł. wydawn. Śia w czeskim Cieszyńcu, 1949, str. 79.
- Konrad Górski, Tadeusz Makowiecki i Irena Winiarska: O norwidge pięć studiów. Nakł. Księgarni T. Szczepny i S-ka, Toruń 1949, str. 131.
- Tadeusz Bilikiewicz: Psychologia marzenia sennego. Nakł. Księgarni Gdańskiej A. Krawczyński, Gdańsk 1948, str. 327, z 470.—
- Leon Kruczkowski: Pawał piersi. Nakł. Spółka Wydawn.-Oświatowej „Czytelnik”, Warszawa 1949, część I — str. 62, z 50 — część II — str. 64, z 50.—
- Hilmar Wulff: Droga ku życiu. Przekład autorzy-zwany Romoju Heidelberg. Powieść. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Czytelnik”, Warszawa 1949, str. 258.
- Teodor Tomasz Jeż: Niezaradni. Nakł. Spółdz. Wydawn.-Oświatowej „Czytelnik”, Warszawa 1949, str. 265.
- Julian Tuwim: Wybór poezji w nowym układzie. Klub Dobrej Książki, prymia 1948, Nakł. Spółdz. Wydawn. „Czytelnik”, Warszawa 1949, str. 265.
- Paweł Bażow: Sztuka z małaciu. Przekł. Czesława Jastrzebiec-Kozłowskiego. Nakł. Spółdz. Wydawn.-Oświatowej „Czytelnik”, Warszawa 1949, str. 491.
- Sobotka. Organ Wrocławskiego Towarzystwa Miłośników Historii. Rocznik III 1949 półrocznik. H. Redaktor Antoni Knot. Wydano z zaskłku Wydawn. Nauki Ministerstwa Oświaty, Urzędu wojewódzkiego wrocławskiego i Zarządu Miejskiego miasta Wrocławia. Wrocław 1948, z 400.—
- Jan Ptaśnik: Miasta i mieszczanstwo w dawnej Polsce. Wyd. II. Nakł. Państwowego Instytutu Wydawniczego, Warszawa 1949, str. 459.
- Georges Politzer: Wykład filozofii. Przekład Jerzego Adamskiego, I — Zasady podstawowe. Nakł. Państwowego Instytutu Wydawniczego, Warszawa 1949, str. 242.
- Wacław Sieroszewski: Ocean. Powieść historyczna. Wydanie nowe. Nakł. Wielkopolskiej Księgarni Wydawniczej 1949, tom I — str. 259, tom II — str. 244.
- Lucejan Rudnicki: Stare i nowe. Tom I. Państwowego Nagroda Literacka. Wyd. III. Nakł. Państwowego Instytutu Wydawniczego, Warszawa 1949, str. 228, z 150.—
- Lukian z Samosaty: Dialogi wybrane. Przekł. wstępem i objaśnieniami opatrzył Władysław Witwicki. Nakł. „Książnica Atlas”, Wrocław — Warszawa 1949, str. 281.
- Tadeusz Reki: Echo oświecenijskie. Nakł. Wydawn. Ludowego, Warszawa 1949, str. 233.

SPROSTOWANIE

Do wiersza mojego pt. „Na pozycje” ufaleszczono w nr 14 „Kuznicy” wkładka się pomyłka zniekształcająca sens wiersza. Winno być: Dokąd czarna gna lokomotywa i platforma dźwięga jaszczce srebrne, Aż wychudy obciążone tendry

Łódź, 12.IV.1949. Jerzy Miller

PAWEŁ HERTZ

MAŁE ODY I TRENY

„KSIĄŻKA I WIEDZA”

Redaguje: Zespół „Kuznicy”
Wydaje: Spółdzielnia Wyd. „Czytelnik”
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorek, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.
Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr 96 — Telefon 264-75
CENA OGŁOSZEN: Za 1 mm na 1 szpalte 50 złotych.
WARUNKI PRENUMERATY:
Miesięcznie zł 80.—; kwartalnie zł 240.—; półrocznie zł 480.—; rocznie zł 960.—.
Należność za prenumeratę należy wpłacać do PKO konto VII—567. Prerumerata „Kuznicy”
Drukarnia Nr 4 Spółdz. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik” — Łódź, Zwirki 2 D—030197